

1870  
1871  
1872  
1873  
1874  
1875  
1876  
1877  
1878  
1879  
1880  
1881  
1882  
1883  
1884  
1885  
1886  
1887  
1888  
1889  
1890  
1891  
1892  
1893  
1894  
1895  
1896  
1897  
1898  
1899  
1900

W ZIMIE

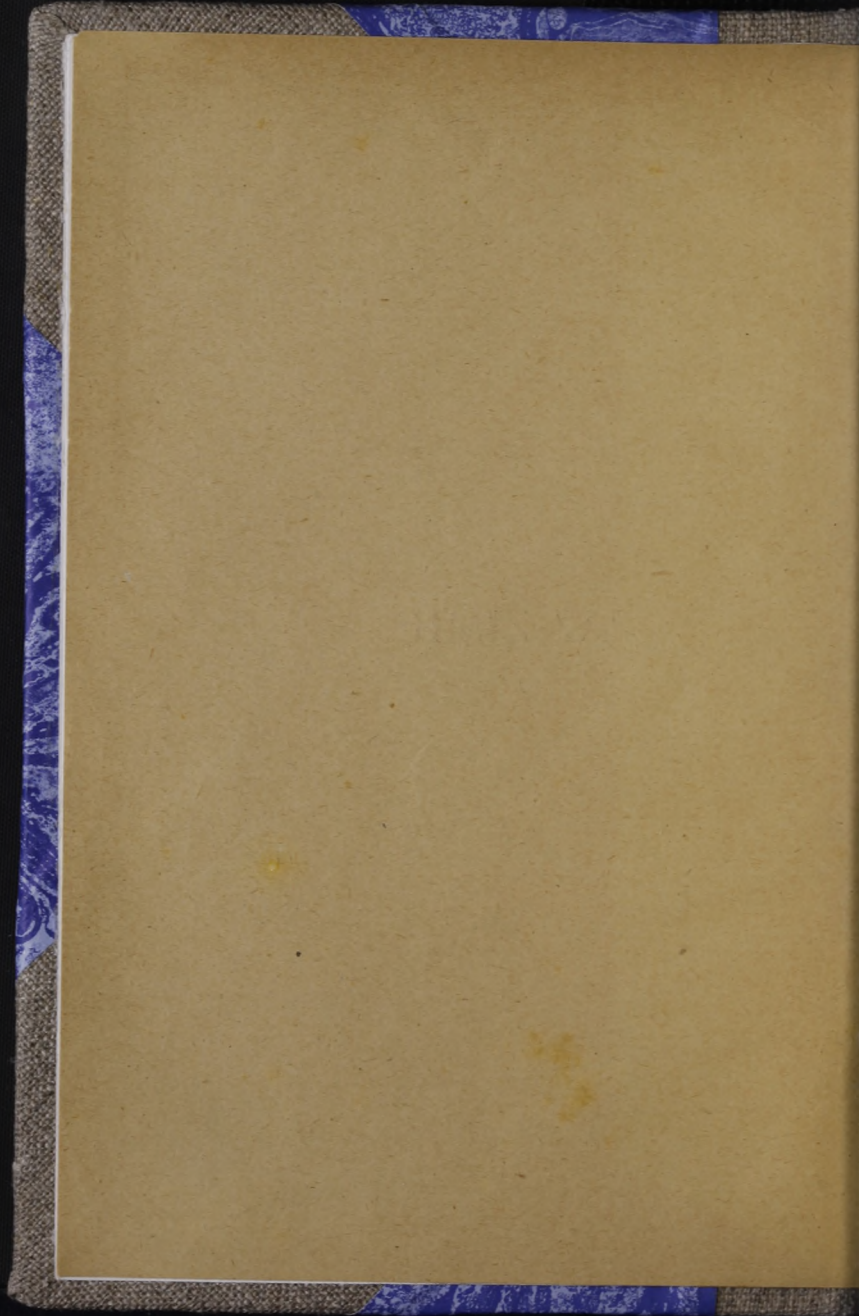
Wiedem' 15. V. 1915.

datus.

in dnu inuenit

Stochaney Science

I. 986.058



MARYA WERYHO



# W ZIMIE

*esca* KSIĄŻECZKA *esca*  
DLA MAŁYCH DZIECI

Z RYCINAMI ST. SAWICZEWSKIEGO  
*esca* WYDANIE DRUGIE *esca*



WARSZAWA

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA  
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1909



I 336.059

---

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

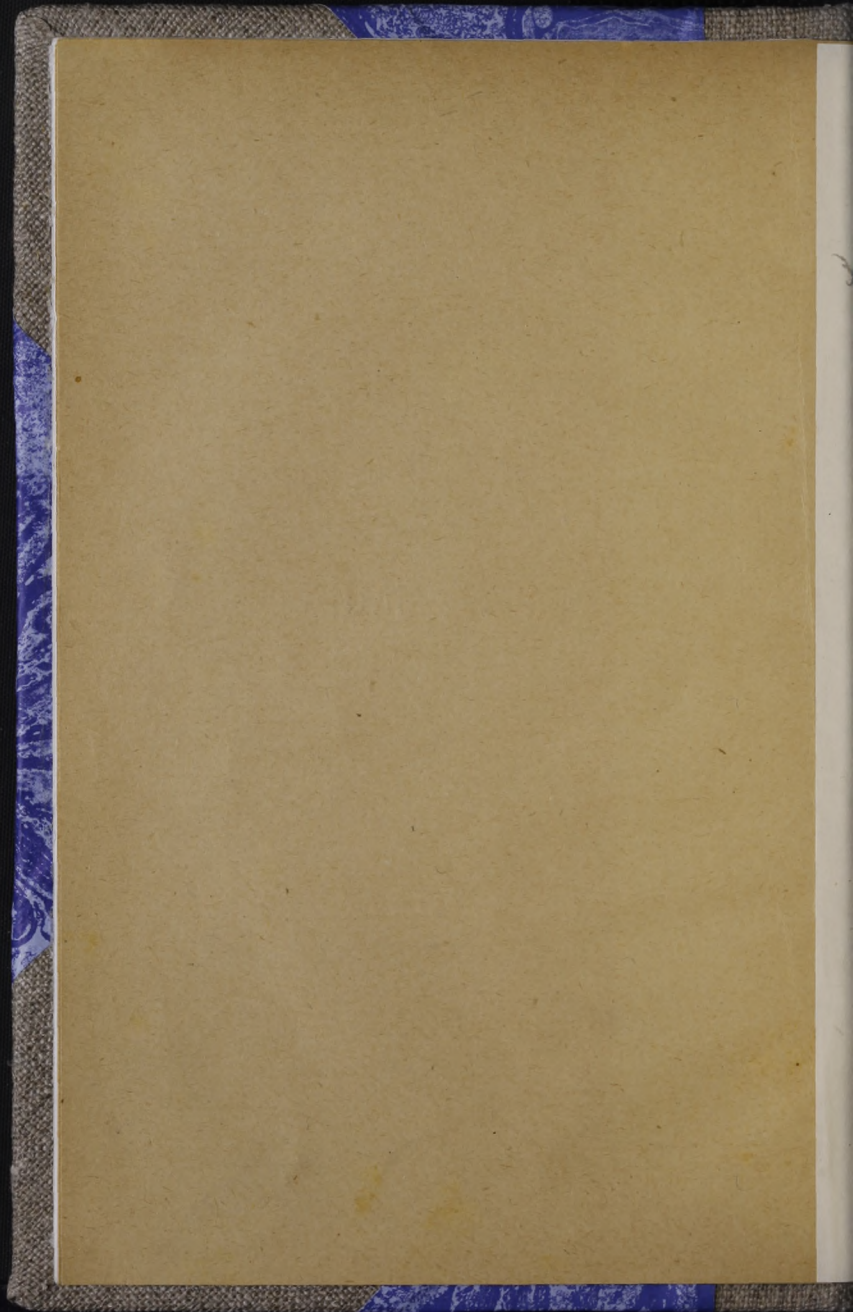
1965 K. 750/59



PTAKI W ZIMIE

W ZIMIE.

1



WYBIEG SOWY

1\*





Ahu! ahu!... rozlegał się głos sowy.  
Ahu! ahu! hu!

Las świecił już pustką, liście poopa-  
dały, nawet suche gałęzie wiatr poła-  
mał i poobrywał.

Głos sowy rozlegał się daleko.

— Co jej się stało dzisiaj? — mó-  
wił szczygiełek, siedząc na cienkiej ga-  
łązce — czego ta sowa tak krzyczy?

— Jakto, nie wiesz, czego? — od-  
powiedziała wrona — nie wiesz, że  
ptactwo zlatuje się do niej, bo sowa  
wzywa wszystkich na naradę.

— Na jaką naradę? — dopytuje cie kawy szczygiełek.

— Albo ja wiem, co tam stara wymyśliła...

Szczygiełek, bardzo ciekawy z natury, poleciałby sam chętnie na ową naradę, ale obawia się sowy: niegdyś w jego oczach porwała mu ona braciszka — szczygiełka.

— Sąsiadeczko — odzywa się wreszcie do wrony — jak myślisz, może byśmy też zajrzeli, co tam sowa wyprawia, chyba nie rzuci się na nas?

— E, cóż znowu! — odpowiada wrona — wzywa nas na naradę, a porywałaby ptaki? Sowa jest wprawdzie drapieżna, ale na takie oszustwa nie ośmieliłaby się.

Znam ją dobrze od dawna, słynie

u nas z wielkiej mądrości. Jeżeli tak bardzo pragniesz, to i owszem, możemy polecieć tam razem.

Szczygieł ucieszył się szczerze: zawsześ raźniej we dwoje — zerwał się więc natychmiast i poleciał za wroną.

A tymczasem w gaju, na polanie, zebrało się niemało ptactwa. Na starej jodle umieściła się sowa i rozprawiała głośno:

— Czy wszystkie już jesteście? — pyta — bo ja, co prawda, w dzień nie dowidzę trochę, niech więc każdy odezwie się po kolei, a ja poznam go po głosie.

I zaczęły wszystkie ptaki wykrzykiwać, wygwizdywać, jak który umiał.

Były tam sroki, wrony, kruki, wróble, jemioluchy, dzięcioły, sikory, cie-

trzewie, głuszce, kuropatwy i wiele innych.

— Dobrze, dobrze, dosyć nas, choć jeszcze nie wszystkie. Szczygła naprzykład niema. A dlaczego? przecie ten do obcych krajów nie odlatuje? Czekaście-no, trzeba go jeszcze zawołać.

— Ahu, ahu, ahu-u!... — rozległo się znowu po lesie.

Szczygieł w tej chwili właśnie zbliżał się do gaju.

— A, smarkaczu, mazgaju, co ty sobie myślisz, dlaczego nie przybyłeś zaraz? — wołała rozgniewana sowa mocno podniesionym głosem.

Szczygieł zadrżał ze strachu i nastroszywszy piórka, aż przycupnął za wroną, bojąc się spojrzeć przed siebie.

Zapadła cisza. Sowa wleciała bez



szmeru na wyższą gałąź i tak przemówiła do ptaków:

— Przyznacie mi chyba, moi drodzy, że jestem z was wszystkich najmądrzejszą.

— Hm, hm!... — mruknął kruk — rozmaicie o tem mówią.

— Zebrałam was dziś po to — ciągnęła dalej sowa — żeby się dowiedzieć, jak też sobie radzicie w zimie, gdzie przebywacie i czem się żywicie; wiem, że głód i chłód nieraz bardzo wam dokucza: otóż, wysłuchawszy waszych opowieści, chcę każdemu udzielić mądrej rady, żebyście łatwiej przetrwać mogli tę ciężką porę roku.

— Mądry ptak!... — szepcą ptaszki cichym głosem.

— Kto wie — odzywają się nie-

śmiało kuropatwy — może ona i wymyśliła coś nowego, bo, co prawda, niemało wyginie nas zawsze w zimie. Przydałaby się na to jaka dobra rada.

— A że, jak widzicie sami, sowy niewygód i w zimie nie cierpią, bo mają i pożywienie, i przyodziewek, i schronisko dobre, sądzę, że rada moja przydać wam się może.

Pomiędzy ptakami ogólna zapanowała radość. Każdy chciał pierwszy opowiedać o swoich zwyczajach i przygodach w zimie.



OPOWIADANIE KUROPATWY





Pierwszą z kolei wywołała sowa kuropatwę, na nią wypadło więc opowiadanie. Ale z natury nieśmiała ptaszyna, przestraszyła się bardzo, posłyszawszy swoje imię. Zaczęła kręcić się, łapkami ziemię rozgrzebywać, oglądać się na wszystkie strony, ale mówić nie mogła.

— Moja kochana — rzecze wkońcu sowa — jeżeli będziesz namyślała się tak długo, to do wieczora nie wysłucham wszystkich.

Kuropatwa na te słowa jeszcze bar-



dziej się zawstydziła i cicho i niewyraźnie zaczęła coś mówić.

— Nic nie słyszę! — gniewnie zawoła sowa — przybliź się i opowiadaj wyraźniej i głośniej.

Kuropatwa biedna stoi jak na mękach. Onaby już chciała skończyć, jużby się i rad wyrzekła, ale mądrego ptaka słuchać trzeba.

Stawia więc parę kroków, zatrzymuje się, ogląda i widzi, że wszystkie ptaki na nią patrzą; zawstydzona wraca, czyści dzióbek, znowu się posuwa, znowu chce mówić, a tu ani sposób. Nareszcie odzywa się drżącym i cichym głosem:

— Ja nie mogę mówić sama.

— A kogóż chcesz do towarzystwa?

— Chciałabym, żeby moje siostry, kuropatwy, dopomagały... — odpowiada biedna nieśmiało.

— Chcecie wszystkie mówić naraz? Ależ bójcie się Boga, przecież nam uszy spuchną od takiego gwaru, a ja nic nie rozumiem.

— O nie, my nie będziemy krzyczały, jedna z nas mówić będzie, tylko chcemy trzymać się razem.

— No — odpowiada sowa — jeżeli... Jeszcze mówić nie przestała, gdy kilkanaście młodych kuropatw podleciało do tamtej.

Pierwsza natychmiast nabrała otuchy i rozpoczęła wreszcie swoje opowiadanie:

— »Było nas ośmnaścioro u matki, trzymałyśmy się zawsze razem, matka

bardzo skromnie nas chowała. Mieszkałyśmy w koniczynie. Dopóki matka była z nami, wszystko było dobrze: ziarenek i robaczków nigdy nie brakowało, od nieprzyjaciół nas broniła, a przed zimnem w nocy kryła pod swoje skrzydełka. O, gdyby tak na zawsze pozostało... Ale wkrótce przyszła bieda jedna za drugą. Koniczynę wieśniacy skosili. Matusia przestała opiekować się nami, a my wszystkie musiałyśmy słuchać odtąd kohota. O, jaki on był surowy! O, jaki zły, prawda, siostruniu?»

— Prawda, prawda! — wołały jednocześnie towarzyszki.

— Spimy nieraz na krzakach, każda na swojej gałązce, a tu przed świtem stary się budzi i woła: ko-ko-ki-ko! To



znaczy, że trzeba wstawać. Gdy później drugi raz tak samo zapieje, musimy się gotować do odlotu, a kiedy po raz trzeci zapieje: ko-ko-ki-ko!... trzeba już lecieć za nim. Tak, pani sowo, naprawdę, czy kto chce, czy nie chce, musi lecieć. Prawda, siostruniu?

— Prawda, prawda, kochanie.

— A gdzież was prowadził ten kochot?

— Na pole, najczęściej na pole zżęte; tam wybierałyśmy ziarenka z pozostałych kłosów. I byłoby jeszcze wszystko dobrze, gdyby nie ta zima szkaradna! Ale pewnego poranku przybiegamy na pola, a tu śnieg tak głęboki, że się dostać do ziemi nie można, a taki zimny, że łapki kostniały nam od stania. Ah, żeby pani sowa

wiedziała, jak nam było zimno! Prawda, siostrzyczki, pamiętacie?

— Pamiętamy, pamiętamy, ah, jak nam było zimno, ojej, ojej!

I poczęły kuropatwy jedna za drugą płakać i lamentować: ciau, ciau!

— Czyście źle w głowie podostawały? — wykrzyknęła nagle sowa — czy wam tutaj zimno, że taki gwałt robicie?

— Nie, teraz nam jeszcze nie zimno.

— A więc czegoż lamentujecie?

— Ano prawda — odpowiada zmieszana trochę kuropatwa — nie mamy jeszcze na co narzekać; siostrzyczki, uspokójcie się, kochaneczki, nie płaczcie!

— Więc — ciągnęła dalej kuropatwa — kiedy ta zima nastąpiła, nastaly

dla nas bardzo ciężkie czasy. Śnieg pozasypywał pola, łąki.

Poleciałyśmy na pagórki, ale śnieg wkrótce i tam się dostał, a nieraz, skoro powstała zawieja, wicher rozrzucał go na wszystkie strony i zupełnie nas zasypywał.

Tak, naprawdę, zupełnie nas zasypał, nawet dzióbeków nam nie było widać.

Ha! cóż robić, czekamy, aż się zadyмка skończy i dopiero wydostajemy się z śnieżnej pierzynki.

Wtedy i stary kohot bywał zakłopotany, szuka pożywienia, gdzie może, ale nie tak to łatwo. Znajdzie nasienie w jakim zeschniętym kwiatku, rozdziobie suchą torebkę i zwołuje nas,

ale cóż z tego? Każdej dostanie się zaledwie po jednym ziarenku.

A tu nadomiar złego ukazuje się nieprzyjaciel jeden za drugim. To jastrząb, to pies, to strzelec tępią nas po polu. Okrutnicy! Prawda, siostruniu? — zwraca się kuropatwa znów do towarzyszek.

Lecz te zamiast odpowiedzi, tylko gorzko płaczą na wspomnienie strzelca.

— I nas było przecie więcej, a teraz zaledwie dziesięć zostało — skarżą się zapłakane kuropatwy.

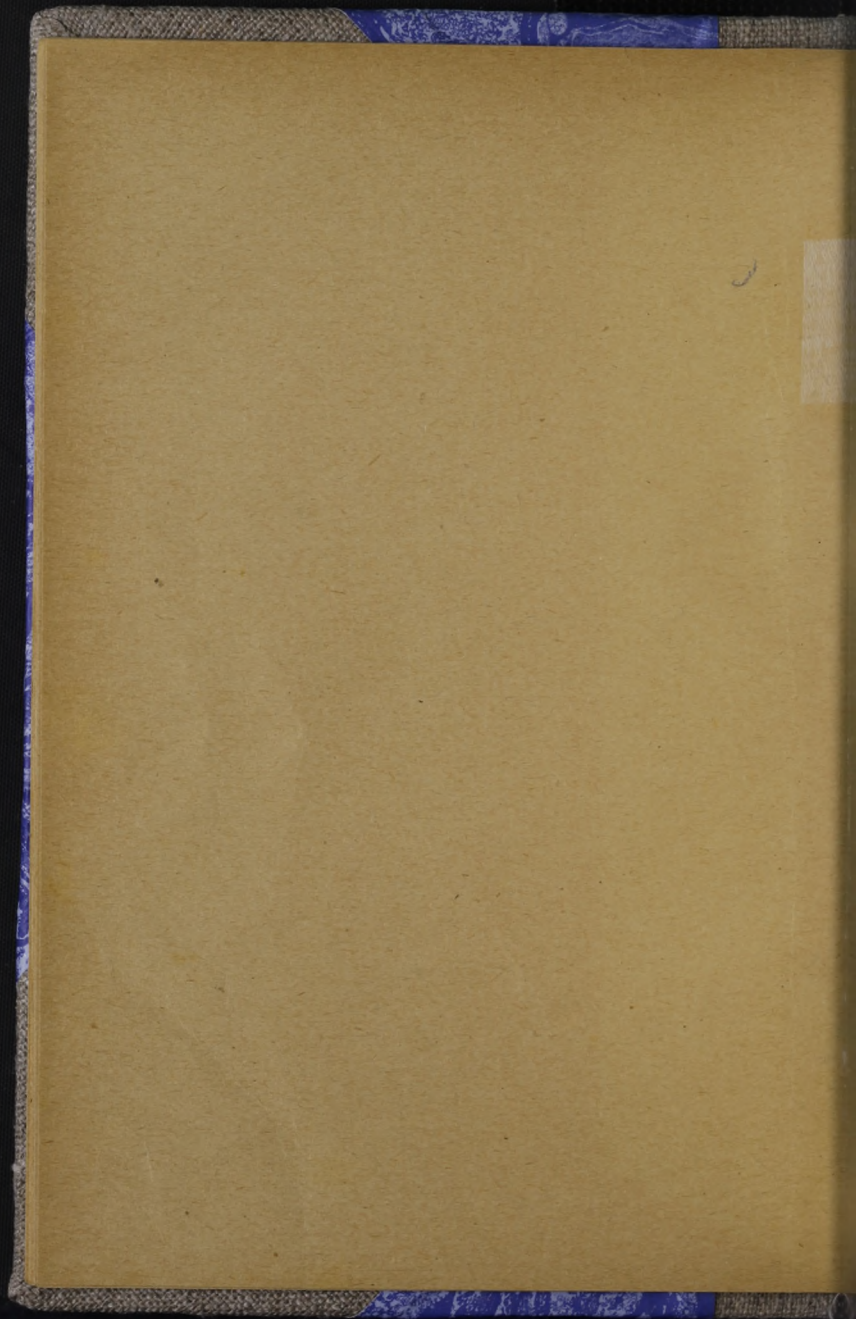
— A to się rozgadała — szepcą między sobą ptaki — zacząć nie mogła, a teraz chyba nigdy nie skończy!

— Może sowa z łaski swojej wy-

myśli jaki sposób na tych ludzi! — wymówiła przez łyżki kuropatwa.

— Dobrze, dobrze — odpowiada dumnie sowa, udając arcymądrą.





23

OPOWIADANIE SROKI



185596  
96





Po kuropatwie musiała opowiadać sroka.

Zeskoczyła z gałązki i drobnym krokiem przybliżyła się do sowy: zaskrzeczała, zakręciła się, ogonkiem poruszyła.

— Nie wiem, naprawdę, jak zacząć, tyle mam do mówienia, tyle, iż rzeczywiście nie wiem, co najpierw powiedzieć...

— Bardzo ci zima dokucza? — pyta wreszcie sowa.

— Rozmaicie bywa, proszę wielmożnej sowy, bo my to nie kuropatwy, nie lubimy poniewierać się po ziemi,

mamy wyborne gniazda na drzewach. I jakie gniazda! Jestem pewną, iż żaden z obecnych tu ptaków takimi się pochwalić nie może. Najpierw robimy z gałęzi koszyk, później wylepiamy go gliną, żeby się mocno trzymał, dalej znosimy siano, mech, słomę, pierze, żeby nam miękko było.

— Ależ, moja kochana, co mnie to obchodzi, jak urządzącie gniazda; nie o to cię pytałam...

— Zaraz, zaraz, droga pani, opowiem tylko, jak sobie radzimy, żeby nas śnieg albo deszcz nie zmoczył. Na wierzchu gniazda mamy daszek i dwa wejścia...

— No, dosyć tego! — woła zniecierpliwiona sowa.

— Ale pani sowa nie wie, po co dajemy aż dwa wejścia? Oto dlatego,

że gdyby nas nieprzyjaciel zobaczył w jednej szparze, możemy zemknąć drugą.

— I zapewne przez całą zimę siedzisz w tem wspaniałem gnieździe?

— Gdzieżtam, czy my piecuchy? Przecież trzeba do lasu zajrzeć i na pole polecieć, i na podwórko poskoczyć, i śmietnik rozgrzebać... Bo to, proszę pani sowy, niektóre ptaki takie nierozsądne, że znoszą mnóstwo jaj do swego gniazda, nie wiedzieć po co! Na przykład kuropatwa, albo gęś. Razu jednego...

— Ależ, proszę cię, sroko, daj spokój cudzym sprawom, opowiadaj o sobie. Cóż ci szkodzą ich jajka?...

— Nie szkodzą, nie — odpowiada sroka — ale muszę porządek jaki taki

zrobić — no... więc wypijam kilka jaj. Albo znowu jarząbek, sam mały, ledwie od ziemi odrósł, a cała gromada piskląt za nim chodzi, i — to takie nierozważne, nierozsądne...

— Teraz mi znów zaczyna o jarząbkach opowiadać? Prawdziwe utrapienie z tą gadułą.

— Trudno, dla porządku i jarząbkom muszę zabrać po parę piskląt. Na polu też mego oka potrzeba. Razu jednego...

— Moja droga, wcale dobrze mówisz, ale zawiele; wiem, że i jajka, i pisklęta — wszystko to masz w lecie, ale ja was pytałam, jak w zimie radzicie sobie z pożywieniem?

— W zimie? Czy ja wiem? Jakoś tam radzimy sobie. Niekiedy ze śmiet-

nika coś smacznego się wygrzebie, to kawałek padliny znajdzie się. Nieraz i w zimie miewamy uczyty, co się zowie.

Aż zaskrzeczała sroka na to wspomnienie i poruszyła radośnie ogonkiem.

— No, i cóż tam bywa nieraz? — pyta sowa, myśląc, że jeżeli co dobrego, to i ona się pożywi.

— Urządzamy polowanie na zajęczki! Ale nie wszędzie jest dużo zajęcy. Opowiadała mi raz moja ciocia. O! co to za rozumny ptak ta moja ciocia...

— Teraz znowu o ciotce zaczyna rozprawiać! Możebyś raz zechciała mówić zwięźlej! Opowiadajże dalej, paplo!

Sroka milczy, przestępuje z nogi na nogę, głowę do góry podnosi, jakby czego szukała.

— Czemuż nie mówisz? — pyta zagniewana sowa.

— Kiedy... zapomniałam, o czym to zaczęłam — odpowiada po cichu sroka.

— Mówiłaś o polowaniu na zające...

— A prawda, prawda! Otóż to tak było: Siedzę razu jednego na krzaku, rozglądam się, wtem widzę — skacze mały zajaczek po polu. Zrywam się, chwytam go za szyję, a on zaczyna kręcić się na wszystkie strony. E! myśle sobie, ja tu sobie z nim sama nie dam rady. Więc zaczynam wołać na moje przyjaciółki — sroki. W jednej chwili zleciały się całą gromadą, rzucały się razem na zajaczkę, zaczynamy go bić dziobami i zadziobałyśmy go na śmierć, a mięso zjadłyśmy wszystkie.

— Jak widzę, moja kochana, nie źle

ci jest na świecie, jakoś i w zimie dasz sobie radę.

— E! nie bardzo; wolę lato, a jednej zimy nawet przytrafiła mi się okropna przygoda...

— Dostyc już tego będzie — odpowiada znudzona sowa — daj innym ptakom przyjść do słowa.

— Zaraz, zaraz, droga, kochana moja pani, tylko wam opowiem jedną awanturkę i zaraz pójdę sobie!...

Jeszcze sowa nie zdążyła dać pozwolenia, gdy sroka już zaczęła opowiadanie na nowo:

— Było to w zimie. Śniegu napadało dużo. Na polu nic nie znalazłam, więc lecę na podwórko, siadam na śmietniku i rozgrzebuję go — aż tu widzę, coś błysnęło, odrzucam śnieg dalej, patrzę —

srebrny napastrzek! Aż mi się w oczach zaćmiło od blasku! Myślę sobie: wydobędę napastrzek ze śmieci i zaniosę do gniazda — toż to będzie ozdoba! Bo to z tym napastrkiem tak było, że gospodyni szyła sobie fartuch...

— Nie, dość już tego, cierpliwości braknie słuchać twoich historii! Nie umiesz opowiadać krótko, rozwodzisz się nad lada głupstwem.

— Już będę opowiadała wybornie, jak mię ludzie złapali i zabrali do swego domu.

— Nie chcę słuchać, dość tego — woła rozgniewana sowa.

— Szkoda, opowiedziałabym, jak mię tam dzieci mówić po swojemu uczyły... jak...

— Dosyć, powiadam ci, dosyć! A,



trajkotka nieznośna! — krzyknęła zniecierpliwiona już na dobre sowa.

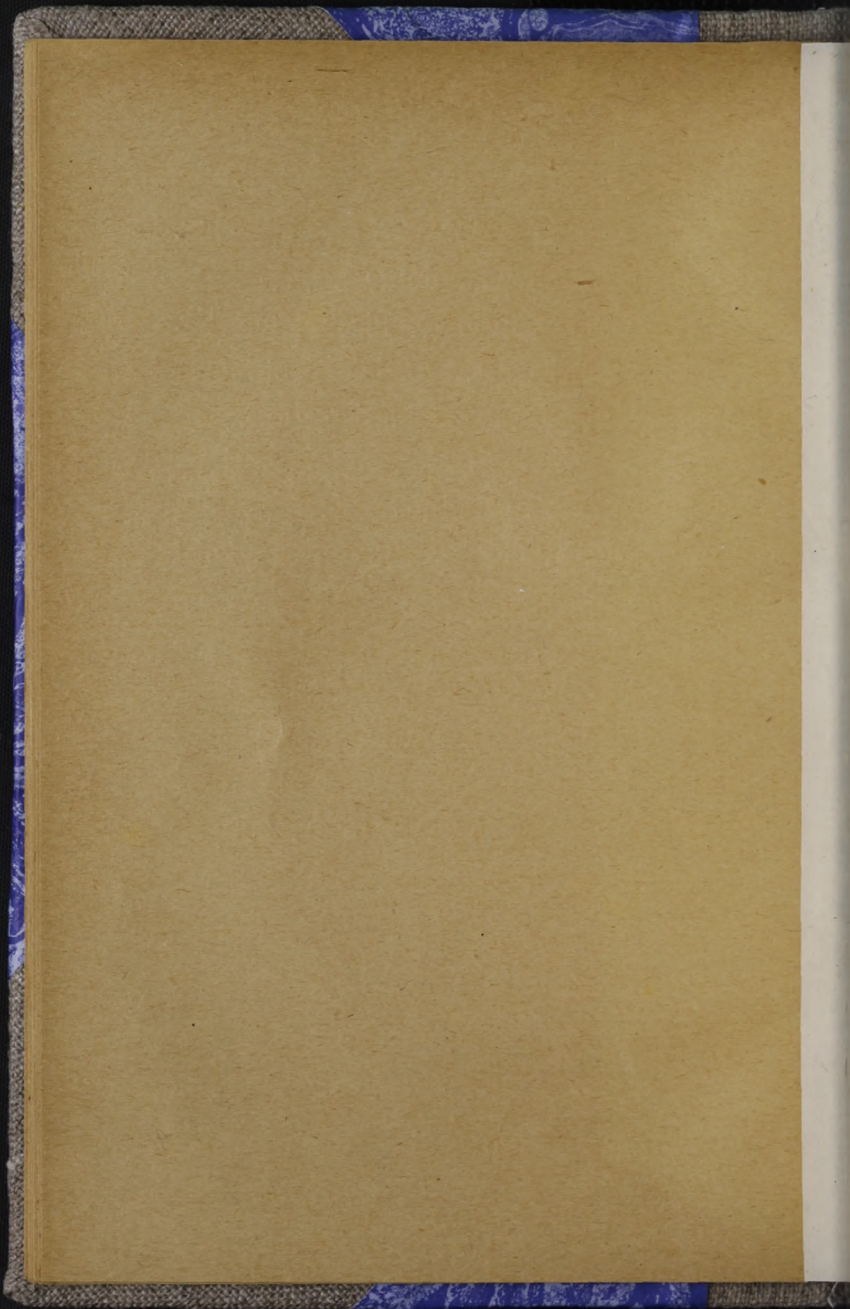
— Dobrze, dobrze, niech i tak będzie, nie wiem, czego tak pani sowa się złości! Ciekawam bardzo, do czego się śpieszycie — rzekła sroka obrażona i poszła... ale z drogi jeszcze raz wróciła.

— Może pani sowa myśli, że u ludzi na zawsze pozostałam. Wcale nie, uciekłam przez...

— Pójdiesz ty na swoje miejsce, — krzyknęła sowa okrutnie już rozgniewana, i o mało nie rzuciła się na srokę.

Ale sroka zemknęła w samą porę.





OPOWIADANIE DZIĘCIOŁA





Wszystkie ptaki były niezmiernie przejęte opowiadaniem kuropatwy i sroki, tylko dzięcioł niewiele zważał na to, co mówiono, wdrapał się na gruby pień drzewa i kuł głośno.

Sowa raz i drugi zawołała na niego, ale dzięcioł stukał w drzewo i zdawało się, że nic nie słyszy. Zniecierpliwiona wreszcie, już chciała rzucić się na niego, ale wyprzedziła ją sroka.

— A cóż ty, stary — zapytała, dzióbując go pod skrzydło — nie słyszysz, że wołają na ciebie?!...

Dzięcioł podniósł głowę powoli, obejrzał się i poważnie zaczął złazić z drze-

wa tyłem, tak, jak człowiek; po drodze porwał jakiegoś chrząszczyka i miążdżąc go w dziobie, zbliżył się do sowy.

— Przecież, namyśliłeś się pofatygować... Czegóż stoisz jak malowany, opowiadaj, jak zimę znosisz? Dużo was ginie z głodu i chłodu — pyta zirytowana sowa.

— Wszystko to od nas zależy, pani sowo, wszystko od nas zależy, na wszystko można radę znaleźć.

— Taak? No, no! Cóż ty, las może ogrzejesz, kiedy ci mróz dokuczy, albo ptaki sprowadzisz z ciepłych krajów, kiedyś głodny? — wyśmiewa sowa.

— Lasu nie ogrzeję, proszę jasnej sowy, ale przygotuję sobie ciepłe mieszkanie. Od czegoś są stare dziuple w wypróchniałych drzewach? Wykuję w nich

dół wielki i głęboki i skryję się przed mrozem wybornie. A co do pożywienia, to powiem pani, że nie trzeba być zbyt wybrednym. Po co koniecznie gonić za ptaszkami, gdy jest tyle innych smacznych rzeczy? Ot, choćby orzechy, nasiona z szyszek, owady pod korą — to przysmaki.

— Dziwię się bardzo, że mi mówisz takie rzeczy — w jakiż to sposób my naszym dzióbem możemy rozłupywać orzechy?

— Wszystko to od nas zależy, trzeba się nauczyć. Orzech rzeczywiście ucieka z dzioba. Otóż dlatego robimy najpierw dziurę w drzewie, wsadzamy w nią orzech i kujemy dzióbem, dopóki się nie rozłupie. Z szyszką postępujemy w ten sam sposób: wsuwamy ją do

dziury, rozłupujemy i zjadamy ziarenka. A co do owadów, tych nam nigdy nie brak, czy to w lecie, czy w zimie, mnóstwo ich zawsze pod korą.

— No, a z nieprzyjaciółmi jakże sobie radzicie?

— I to od nas zależy. Nie włączymy im w drogę. Ja np. siedzę w dziupli, albo na drzewie i kuję, a że jaskrawych piór nie mam, więc nie łatwo mnie spostrzec mogą. Nawet ludzie mnie nie prześladują, bo im żadnej szkody nie wyrządzam.

— Jakto, pozwalają ci rozdziobywać drzewa?

— Tak, bo zdrowej kory nie ruszamy, tylko taką, która pokrywa spróchniałe drzewo. Przepraszam wielmożną panią, ale dłużej mówić nie będę, bo sły-



sze, jak się robak porusza na tej dużej gałęzi; muszę spieszyć, bo mi ucieknie.

— Czekaјno — woła sowa — jeśliś taki mądry, to powiedz mi, jak radzisz...

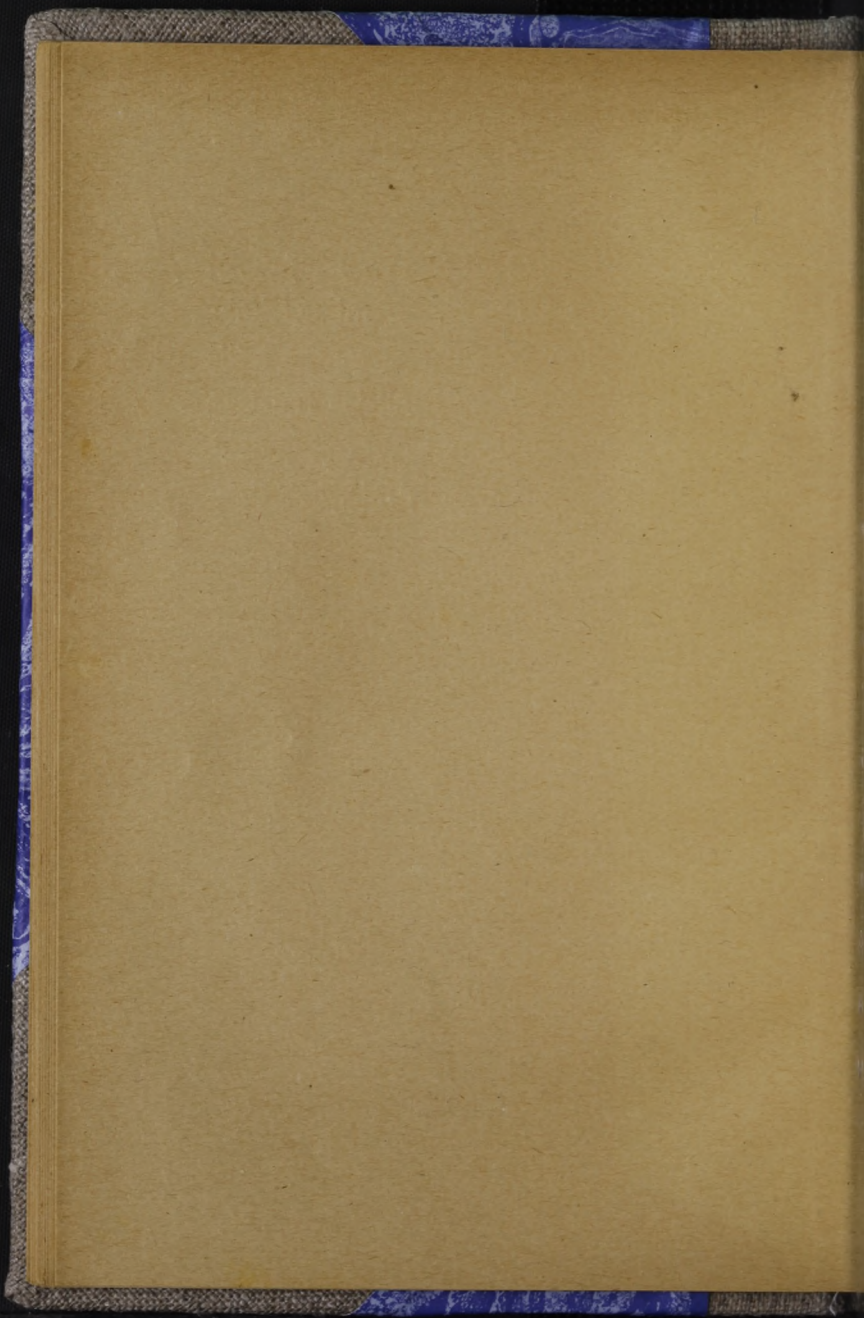
— Zawsze sobie radzę, proszę pani, bo to od nas zależy... — przerywa dzięcioł z pośpiechem.

— Jak śmiesz odchodzić, kiedy nie skończyłam cię jeszcze pytać — woła sowa podniesionym głosem.

— Śmiem, proszę łaski pani, bo to ode mnie zależy — odpowiada dzięcioł spokojnie, siedząc już na starej gałęzi i kując dalej korę.

Rozgniewana sowa najeżyła pióra i zamyśliła się ponuro, ale dzięciołowi... nic zrobić nie mogła.





OPOWIADANIE SOJKI





Kiedy się ptaki tak zwierzały sowie, na pobliskiej sośnie kręciła się sojka.

Co chwila zeskakiwała na ziemię, to znów z ziemi na drzewo, z jednej gałęzi na drugą, to się kryła, to znowu wypadała z krzykiem, aż nareszcie zaczęła wronę i zaczęła z nią głośną sprzeczkę.

— A co tam za krzyki! — wrzasnęła sowa, nasrożywszy pióra, i zwróciła się w stronę sojki.

— Ah, to sojka! skądżeś się tu wzięła? Widziałam na własne oczy, jak

w jesieni wybierałaś się z towarzysz-  
kami do odlotu.

— O, bardzo się pani sowa omyliła —  
odpowiada sojka — nie mamy zwy-  
czaju odlatywać, bo i po co? I tak nam  
dobrze. A że zbierałyśmy się w gro-  
madę na jesieni — to prawda. Taki już  
mamy zwyczaj! Widzimy, że inne ptaki  
gromadzą się i wybierają w podróż,  
więc i my przy tej sposobności lubimy  
się zabawić, pokrećić, pogawędzić z przy-  
jaciółkami, wkońcu wznosimy się w gó-  
rę, podobnie, jak inne ptaki i wołamy:  
»bądźcie zdrowi!« Wszyscy myślą, że  
nie wiedzieć jak daleko powędrujemy,  
a my przenosimy się tylko do sąsied-  
niego gaju. Tu, czy tam w zimie nawet  
bawimy się wybornie. Bujamy sobie w po-  
wietrzu, wywracamy koziolki, gonimy się...

— I to wszystko o pustym żołąd-  
ku? — pyta sowa.

— Bynajmniej, a od czegoż żołędzie  
na dębach! Rozdzióbać miękką skorupę  
chyba nic trudnego, a jąderko takie  
smaczne! Gdy żołędzie nam się sprzy-  
krzą, wybieramy jagody z krzaków,  
czasem inny owoc na drzewie się znaj-  
dzie...

— Wszystko to dobrze — mówi po-  
ważnie sowa — ale o tobie, moja droga,  
słyszałam bardzo brzydkie rzeczy. Po-  
wiadają, że napadasz na żywe stworze-  
nia, że porywasz małe zwierzątka i ptaki?

Sojka słucha, z nogi na nogę prze-  
stępuje, ale nic nie odpowiada.

— Gdybyś poprzestawała na żmijach  
i myszach, nie miałabym ci tego za złe,  
ale ty podobno chwytasz najpożytecz-

niejsze ptaszki? — prawi sowa, coraz bardziej głos podnosząc.

— O, niech mnie pani sowa nie ciągnie za język, bo jak zacznę mówić!... — odzywa się sojka, kręcąc się na jednym miejscu.

— Co? może mi zaprzeczysz? — krzyknęła sowa zaperzona. — Potwór jesteś wśród ptaków, wszyscy o tem wiedzą.

— Prawda — powiada sojka — że zjadam małe ptaszki, ale zdaje mi się, że ostatnią kuropatwę goniliśmy razem z panią sową i kiedy już ją prawie miałam w dzióbie, pani sowa wyrwała mi tę piękną zdobycz i sama na śniadanko spożyła. Cóż, może nieprawda?

Wszczął się szmer między ptakami, wszystkie miały ochotę wielką par-



sknać śmiechem, ale bały się mądrej sowy.

Ale sowa udaje, że nie słyszy, nie rozumie, czy też opowiadanie sojki nie do niej się stosuje, napuszyła pierze i niby dziób sobie czyści.

Sojka uśmiechnęła się szyderczo, gwizdnęła i odleciała pośpiesznie do domu.





OPOWIADANIE WRONY





— Wrona ma głos! — zawołała na całe gardło sowa.

— A! nareszcie... — odparła wrona — bo mi się już na sen zbierało.

Nie powiedziała jednak, że siedząc na gałęzi, wyspała się już dobrze.

Wrona ukłoniła się sowie, rozejrzała wkoło i spostrzegłszy kosz stary, wskoczyła nań prędko,

— Co to ma znaczyć, czy ci wygodniej na koszu, niż na ziemi? — pyta sowa.

— Nie wiem jeszcze, czy wygodniej — odpowiada zwolna wrona — ale to pewna, że przyjemniej. Przypomina mi on śmietnik, moje ulubione miejsce.

— Dobry masz gust, ani słowa! I cóż tam tak przyjemnego jest na tym śmietniku?

— I pani sowa o to pyta? Przecież tam się znajdują największe przysmaki. Choćby łupiny od kartofli! Czy może być co smaczniejszego? Albo marchew rozgotowana! Co prawda i gdzieindziej można znaleźć podobne rzeczy, ale nie w takiej ilości — ciągnęła zwolna odpowiedź swą wrona.

— I to jest całe wasze pożywienie?

— O, wcale, moja pani, bynajmniej! Dużo jest dobrych rzeczy na tym świe-

cie. Ot, choćby gnojowisko lub padlina! Powiadam pani, że to prawdziwe łakocie... Nie rozumiem — mówi jak gdyby z namysłem — dlaczego wszystkie ptaki nie korzystają z tych zapasów? Powiadają, że padlinę czuć nieprzyjemnie. Ale co nam do tego? Przecież do dzioba ją kładziemy, nie do nosa...

— Ach, moja droga, mogłabyś nie opowiadać takich rzeczy! Wolno ci jeść, co ci się podoba, ale nie masz nad czem się unosić!

— Pani sowa tak mówi, bo nigdy nie próbowała tych przysmaków... Może przynieść kawałek? Tu, niedaleko pod lasem, leży pies zdechły, jestem pewna, że ci będzie smakował.

I już zerwała się z miejsca, gdy sowa zawołała pogardliwie: Zaczekaj, po-

wiedz lepiej, gdzie mieszkasz podczas zimy?

— Gdzie mieszkam? Czy to można opowiedzieć? Ot, jak się zdarzy. W starej dziupli, pod strzechą, na strychu, no...

Zamilkła nagle i tak się zamyśliła, że o mało nie zleciała z kosza.

— Dlaczegoż nic nie mówisz? — pyta sowa.

— Przepraszam bardzo, ale przypomniałam sobie, że zostawiłam na strychu kawałek mięsa, pamiętam nawet, w którym kącie. Muszę tam lecieć, bo mi jeszcze kto zabierze... Skończę opowiadanie. Na czym to ja stałam? Aha!... przypominała sobie zwolna wrona — gdy mi zimno bardzo dokucza, włączę do komina.

— A to pięknie! Do komina! A gnia-



zda własnego nie masz? — dopytuje sowa.

— Jakto nie mam? — odrzekła obrażona wrona — czy to ja ptak ladajaki? Słyszac, jak sroka opisywała swoje gniazdo, przyszło mi na myśl, czy ona nie o mojem mówi... Ale w niem bardzo zimno; któżby tam mógł wysiedzieć podczas mrozów.

Sowa słuchała ze zgorzeniem. Nakoniec zaczęła mówić, że porządny ptak nie powinien wycierać cudzych kątów, włązić do ludzkich mieszkań.

Nie podobało jej się także opowiadanie o wstrętnym pokarmie i wiele z tego powodu prawiała nauk wronie.

Kazanie przeznaczone po części dla wszystkich ptaków, trwało długo. Nikt nie przerywał milczenia.

Wtem rozległ się śmiech powszechny. To wrona się zdrzemnęła i z hałasem spadła z kosza.

Nawet sowa, choć chciała udawać poważną, nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

— Widzę, że uważnie słuchasz — rzekła drwiąco. — No, kończ swoje opowiadanie i wracaj sobie na strych.

Wrona zawstydzona ziewnęła parę razy, wskoczyła znowu na kosz i tak mówić zaczęła:

— Kiedy zajrzałam do jej gniazda...

— Gdzie? co? do czyjego gniazda — pyta sowa.

— Ano, do gniazda mojej sąsiadki wrony... Przecież w tej chwili byłam u niej...

— Cha-cha! chi-chi! czy-czy! — roz-

legł się śmiech ptaków. — Ona opowiada, co jej się śniło!

Jeszcze bardziej zawstydzony ptak błagalnie zwrócił się do sowy.

— Moja pani, może już dosyć tego mego gadania, dajcie mi pokój! Ja nie jestem przyzwyczajona dużo mówić i długo słuchać. Polecę sobie do wron, takich samych jak ja prostaczek; one mnie zrozumieją.

— A lećże sobie jeżeli chcesz. Nie masz do mnie już żadnego interesu?

— Mam małą prośbę do pani sowy, ale o tem długoby mówić.

I znowu wrona wpadła w zamyślenie.

— Nie namyślaj się tak długo, bo ci się jeszcze raz co przyśni — wołały ptaki.

— Co tam, powiem otwarcie. Niech pani sowa polecie do tego lasu, który widnieje zdala, niech wejdzie na dużą sosnę i zadzióbie jastrzębia, co tam siedzi.

— Kiedy ta się odezwie, to warto posłuchać! — szeptały ptaki między sobą. — Prędzej jastrząb rozszarpie sowę, niż ona mu co zrobi.

Ale sowa nie chciała przyznać, że jest słabszą od jastrzębia i odezwała się do wrony:

— Czy wam grozi od niego jakie niebezpieczeństwo?

— Niebezpiecznym bardzo nie jest, bo naszego mięsa nie lubi, ale skoro mu głód dokuczy, gotów i na nas się porwać. To najgorzej, że nam wykrada pisklęta dla swych dzieci-żarłoków. Nie

macie pojęcia jaki to drapieźnik! Jaki to niegodziwiec!

I na wspomnienie jastrzębia zaczęła wrona grzebać nogami i łamać pręty kosza.

— Onegdaj zobaczyłyśmy go z siostrą, taką samą wroną jak ja; leciał nad polem. Ten jastrząb, proszę pani sowy, leciał. Jak nie wrzaśniemy: kra! kra! kra-a-a;... Bo to, proszę sowy, my tak zawsze na siebie wołamy. Aż tu pięć wron do nas przyleciało i zaczęły jeszcze głośniej krzyczeć. Głos, proszę pani mają taki sam, jak ja; kra-kra-kra!...

— Ah! jakaż ta wrona nudna! — szepnęła sowa półgłosem.

— Na to wołanie — ciągnęła dalej wrona — zleciało się mnóstwo wron z całej okolicy. Jastrząb się przestra-

szyl, ten sam jastrząb, któregośmy gonili! O! bośmy go gonili, gonili bez końca...

Sowa znudzona wreszcie opowiadaniem rzekła:

— Jeżeli same tak dobrze dajecie sobie radę, po cóż ja mam go zabijać?

— Dla świętego spokoju, proszę dobrej pani. Czy to nasza rzecz awantury? My z sobą w zgodzie żyjemy, kłótni nie znamy, nie lubimy, z nikim nie walczymy tutaj...

Wrona chciała coś jeszcze na ucho powiedzieć sowie, lecz zaczepiła nogą o krzak; porusza skrzydła do lotu, wznosi się całym ciałem, nogi nie może wyjąć.

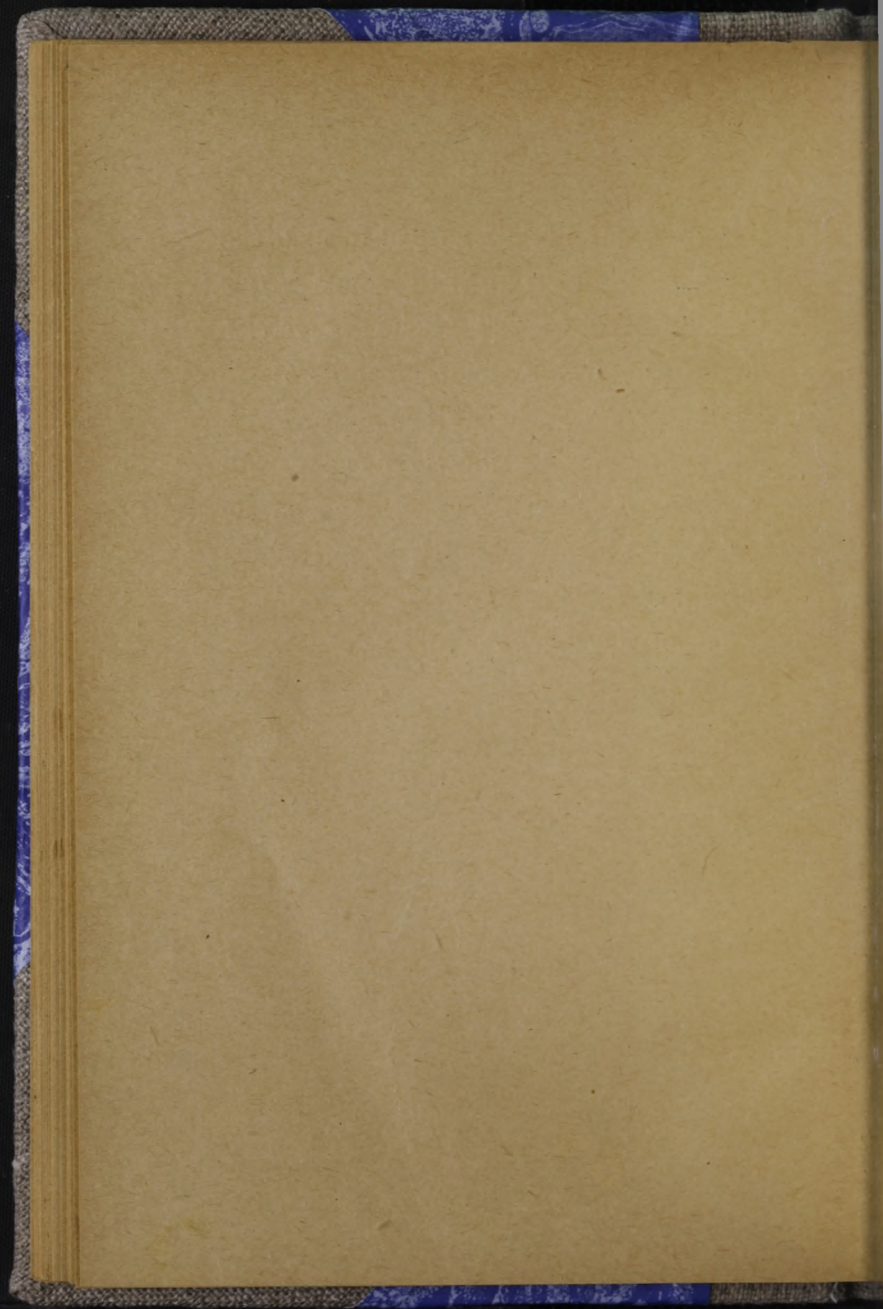
Na domiar złego śmieją się z niej ptaki, sprawiając wrzask okrutny.

— To prawdziwa wrona! to mądrała!

— Nowa awantura! — szepce wrona i z całej siły szarpie nogą. — Nareszcie jestem wolna, bądźcie zdrowe! — wołała, patrząc pogardliwie na ptaki. — Nie potrzebuję takich wykpiwaczy. Pójdę sobie do swoich wron, z nimi się lepiej zabawię... Tylko niech pani sowa zaraz jastrzębia zabije!...

To powiedziawszy, odleciała.

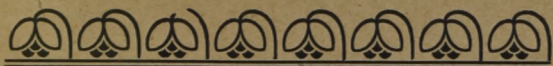






OPOWIADANIE WRÓBLA





Z kolei sowa przywołała wróbla.

Właśnie niedaleko na dużym kamieniu zebrała się ich spora gromada i gorliwie nad czemś radziły.

— Idźże, szaropiórku — szepce jeden wróbel — musi przecież z nas któryś stawić się na rozkaz sowy.

— Mądryś! — odpowiada zagadniony — ciekaw jestem, dlaczego sam nie idziesz?

— Niech krótkodzióbek idzie! Taki stary wróbel, to mu się nic nie stanie.

— Co za krótkodzióbek, jaki krótkodzióbek? Przecie chyba nie ten niezgrabiasz?

— Prędeż, prędeż! Tak długo muszę na was czekać? — woła zniecierpliwiona sowa.

Tymczasem między wróblami coraz głośniejsza sprzeczka, żaden nie ma odwagi wystąpić.

— Widzę, iż żarty jakieś stroicie sobie ze mnie, nie znacie widać szacunku dla starszych — odzywa się gniewnie sowa.

Między wróblami straszny hałas i wrzawa, boją się sowy, tulą się do siebie, żaden nie chce iść pierwszy. Oczy sowy błysnęły złością.

— Tacy to wy jesteście? — zawołała zniecierpliwiona i już chciała się na nich porwać.

Wróble, spostrzegłszy ten ruch, przerażyły się tak okropnie, że wszystkie

razem wzniosły się do góry i stanęły przed sową.

Sowa milczała długo, chcąc ochłoniąć z gniewu, wreszcie przemówiła spokojnie:

— No, opowiadajcie tak, jak inne ptaki, tylko szczerze, jak zimę spędzacie: czy głód wam nie dokucza?

To mówiąc, spojrzała groźnie na małego wróbla.

Wróbelek pomyślał sobie, że do niego mówi i okropnie zmieszany cieniutkim głosem odpowiada:

— Ja... ja... proszę pani, wcale zimy nie spędzam... nigdy, nigdy nie spędzałem...

— Cicho, żółtodzióbku, nie o tobie mowa.

Wtedy stary wróbel, śmielszy od innych, tak zaczął:

— Pani sowie wiadomo pewnie, że na zimę przenosimy się do miasta, niedaleko mieszkań ludzkich, lub na wieś; w tej porze roku na polu niema nic do roboty. Napróżno szukałbyś ziarnka lub robaka.

— Ah! wszędzie zimno, wszystko jest zmarznięte, skostniałe — narzekają inni.

— Niekiedy chronimy się w opuszczonych gniazdach jaskółczych, pod strzechą, w starych drzewach. Tam się tulimy do siebie i jakoś cieplej nam trochę.

— Eh! gadanie! — przerywa inny wróbel — czcze gadanie! Skąd nam może być cieplej? Niema ciepła w zi-

mie. W jaskółczym gnieździe najczęściej są dziury, a przez nie wiatr gwizdże jak w polu; jeżeli ukryjemy się w strzechę, to nas śnieg zasypie; a w drzewie, co za niewygodna, ciemno, wilgotno!... Powiadam pani, że niema gdzie głowy przytulić! Ciarki po mnie chodzą, kiedy myślę o tych mrozach. A ten stary powiada, że nam ciepło bywa. Z tej całej gromady, którą pani sowa widzi, połowa wyginie, nim wiosna nadejdzie.

— Eh, cóż znowu — odzywa się inny wróbelek — nie trzeba przesadzać! Ginie nas sporo, to prawda, ale niekoniecznie z zimna. Raczej przez łakomstwo, nieostrożność!

— A ja pani powiadam, że nie zimno, nie nieostrożność, nie łakomstwo nas gubi, jeno głód, niech mi pani wierzy...

— Nie możesz, niedołego jakiś, razem z kurami ziarn dziobać? — wtrącił się do rozmowy jakiś krępy wróbel.

— Dużo zyskasz, woła inny, zaraz cię kura dzióbnie. Dawniej można było znaleźć owies na podwórku lub w stajni, a dzisiaj moda taka, że kury wszędzie łążą. Jedno, dwa ziarenka, to już bal, jeżeli je znajdziesz, I żyjże tu na takim świecie...

— Przesada, przesada — odzywa się otyły wróbel — niech pani sowa tego do serca nie bierze. Proszę tylko na mnie spojrzeć!

To mówiąc, wróbel pokręcił ogonkiem, podniósł skrzydełka i zaprezentował się sowie.

— Widzę, widzę, że ci się nieźle na świecie powodzi.



— Rzeczywiście, a cała sztuka, żeby  
umieć sobie radzić,

— To prawda — wołają inne —  
on sobie dobrze radzi: wystaje ciągle  
pod oknami ludzi, dopóki mu z litości  
okruszyn nie rzuca, jak żebrakowi.

— A co mi do tego, czy z litości,  
czy z miłości? Chleb zawsze smaczny.  
Wy nie chcecie schylić głowy, więc  
cierpicie z własnej winy.

Tu wróble wszczęły sprzeczkę, jedne  
trzymały stronę otyłego towarzysza,  
inne go potępiały z oburzeniem.

— Dostyc tego!... — zawołał wresz-  
cie sędziwy wróbel. — Ja teraz mam  
głos i jeżeli pani sowa chce naprawdę  
wiedzieć, jak nam się wiedzie na tym  
świecie, to odrazu powiem, że źle.  
A źle nie dlatego, że zimno, bo prze-

cież zawsze gdzieś się ukryć można; nie dlatego, że nam głód dokucza, bo co tam takiemu ptaszкови, jak każdy z nas, potrzeba; ale źle nam dlatego, żeśmy się urodzili wróblami... Nikt nie ma tylu co my nieprzyjaciół. I kot wsuwa łapę do gniazd naszych, bo mu wróble smakują; i jastrząb, gdy mu się nie uda upolować gołębia, chwyta wróbla. Nawet chłopcy, zaledwie od ziemi odrosną, już zastawiają na nas sidła. A jeśli nam przyjdzie ochota odpocząć w grochu, konopiach lub innem zbożu, to zaraz cała awantura. Właściciel pola bierze strzelbę i odrazu chciałby nas wytępić co do nogi. I trzeba przyznać, że często udaje mu się polowanie. Gdybym chciał wyliczyć wszystkie ptaki i zwierzęta, które na nasze życie czy-

hają, nie skończyłbym do wieczora. Powiadam pani, że stokroć lepiej być dudkiem brudasem lub głupią wroną, niż wróblem.

W czasie tej mowy wielka panowała cisza, wróble posmutniały i zwiesiwszy główki, słuchały w milczeniu; dwie wróblice prędko łapką łzę otarły, aby ukryć, że płakały.

— Widzę z tego — rzecze sowa — że macie dużo nieprzyjaciół, ale powiedzcież mi, który dla was najniebezpieczniejszy?

Na te słowa w jednej chwili wrzask i krzyk wszczął się w skrzydlatej gromadzie.

Jedne wołały, że kot jest najgorszy, inne, że jastrząb, inne narzekały na

człowieka, słowem w żaden sposób nie mogły się zgodzić.

Starsze wróble uspokajały młode, gniewały się, dowodziły, dlaczego wymieniony przez każdego z nich nieprzyjaciół jest groźniejszy od innych.

Niepodobna było jednak uspokoić krzykaczy. Nagle jeden wróbel podfrunął do góry i każdemu z towarzyszy szepnął coś do ucha, ale tak cicho, że sowa usłyszeć nie mogła.

W jednej chwili zrobiło się zupełnie cicho.

Jedno słówko towarzysza przekonało wszystkich.

Zgodzono się nareszcie na jednego wroga.

— No i cóż — pyta sowa — porozumieliście się wreszcie?

— Porozumieliśmy się — odpowiadają jednogłośnie wróble.

— Któż więc jest największym wrogiem waszym?

— Nie możemy powiedzieć, proszę pani, w żaden sposób, nie możemy.

— Cóż znowu — zachęca sowa — czy sądzicie, że was zdradzę? Nie bądźcież dziećmi, mówcie śmiało, może znajdzie się jaka rada.

— Mów ty — rzecze jeden wróbel.

— E, nie chcę, sam powiedz!

— Nigdy w życiu!

I znowu rozpoczęła się wrzawa.

— Mówcie śmiało — perswaduje sowa — miejcież trochę rozsądku, czegoż się obawiacie? No?... No?...

Wróble kręcą się na wszystkie strony. ten i ów zaczyna mówić i cofa się, aż

wreszcie jeden zaświergotał trochę głośniej :

— To, proszę pani... proszę jaśnie pani... największym wrogiem naszym jest... jest... sama pani sowa, bo nas najwięcej zjada...

Przerażenie odmalowało się w oczach wszystkich ptaków.

— Jak on mógł coś podobnego powiedzieć? Oj! Oj! — szeptano dokoła.

— Odważny — rzekła jemiolucha.

— Ja także tchórzem nie jestem — wtrąciła sikora — ale tegobym nigdy nie powiedziała głośno.

Tymczasem sowa nasrożyła pióra, oczy krwią zasze błysnęły złośliwie.

Wróble na widok jej gniewu struchlały z przerażenia.

Wszystkie ptaki patrzają na sowę.

— I wy śmiecie coś podobnego w oczy mi zarzucać? Wy, nędzne wróble!? — woła z uniesieniem sowa. — Co za zuchwalstwo! Co za poufałość!

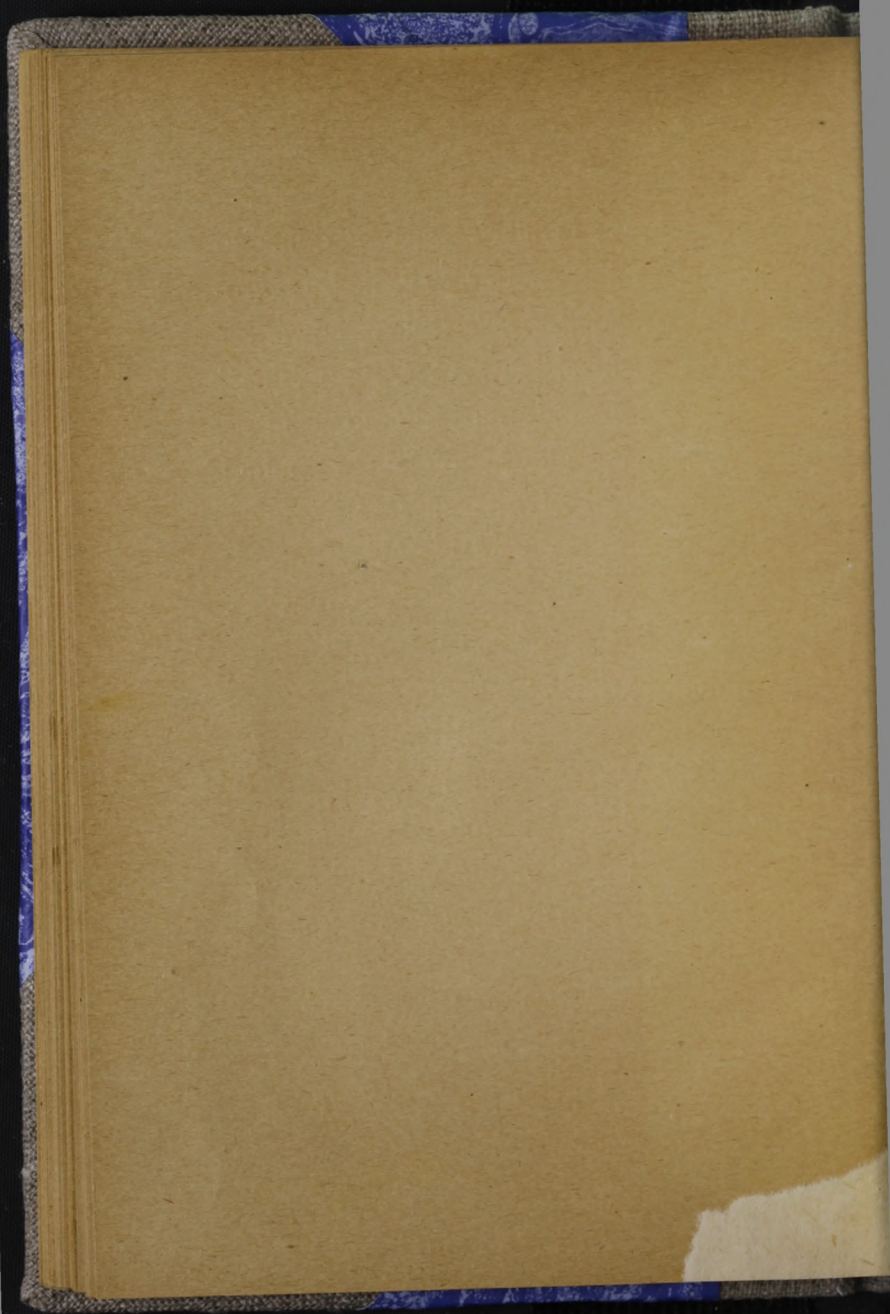
Myśleć o mnie możecie, co wam się podoba, ale mówić o tem w mojej obecności, wara! Rozumiecie? — krzyknęła i rzuciła się na wróble.

Biedactwa wzbily się szybko w powietrze, ratując się ucieczką, ale mocna sowa porwała ostatniego.

— Brzydę się tymi ptakami — rzekła nieszczerze — ale muszę schrupać jednego, aby inne miały naukę, aby wiedziały, jak karzę zuchwalców...

I hucząc przeraźliwie, rozszarpała wróbla.







OPOWIADANIE CIETRZEWIA  
I GŁUSZCA





Odstraszywszy wróble i uspokoiwszy się nieco, sowa dziób otarła o gałąź, wygładziła pióra i zaczęła rozglądać się dokoła.

Wtem w oddaleniu, w głębi lasu, ujrzała głuszca.

Znała się z nim od dawna i szanowała w tym dużym ptaku siłę i postawę. Pierwsza więc przybliżyła się do niego.

— Jak się masz, przyjacielu?

— Dzień dobry, dzień dobry, pani sowo; widzę, że zdrowa jesteś, apetytu

nie brak: wróbel smakował, szkoda, że taki maleńki.

Sowa, trochę zawstydzona, zaczęła się tłumaczyć, że w ten sposób chciała tylko ukarać śmiałość zuchwalców.

— Przecież i wy zapewne porywacie nieraz te głupie stworzenia, gdy wam się pod nogi cisną? — rzekła.

— My? Broń Boże, nie lubimy mięsa, brzydzimy się krwi rozlewem. Mamy dość pąków, jagód, kolców w naszym lesie.

I ptaki rozpoczęły pogawędkę. Opowiadały sobie nawzajem przygody, narzekały na ludzi, którzy im tak straszliwie dokuczają.

— Powiadam pani — mówi głuszc — że niepodobna ukryć się przed tym człowiekiem. Przeniosłyśmy się do

lasu, w gąszcz największy, ale i tam nas znalazł. A jakie miewa pomysły? Buduje z gałęzi budę i kryje się w niej. Ja, co prawda, jestem ostrożny, ale biedny brat mój dał się zabić. Siedział raz na gałązce i śpiewał, aż tu nagle strzelec wysunął lufę z budy chruścianej, wypalił i na miejscu go zabił.

— Dobrze, żeś mi przypomniał o waszym śpiewie — rzekła sowa. — Mój kochany, wy głuszce, podobno głos macie prześliczny, a i tańczyć umiecie. Pokaż mi choć raz jeden swoją sztukę; nigdy nie byłam na takim widowisku.

— Eh, proszę pani sowy, ja tam nie do tego. Poproś lepiej cietrzewi; to prawdziwi tancerze.

Właśnie o parę kroków dalej siedziało kilka cietrzewi.

— Cieszę się, że was tu spotykam —  
odzywa się uprzejmie sowa — ujrzę  
nareszcie wasze płasy, tak wychwalane  
przez wszystkich.

— Nie czas teraz, proszę sowy, nie  
czas na tańce. Na wiosnę to co innego,  
ale kto słyszał tańczyć w zimie? Od  
wczoraj jądła porządnego znaleźć nie  
możemy, pąki śnieg przyprószył.

Sowa zaczęła nalegać, prosić, obiecując, że wyszuka im krzak z jagodami.

— Zima się już kończy — rzekła —  
za parę dni i skowronki przylecą. Ma-  
rzec za pasem — przymilała się słodko.

Ptaki uległy wreszcie natarczywym  
prośbom. Obejrzały się dokoła i tajem-  
niczym głosem przemówiły: »Czau... szul...  
czau... szul!« a jednocześnie zerwały się  
do lotu. Zatrzymały się na małej po-

lance. »Bułum... bułum!« zabełkotał jeden, za nim drugi, trzeci i wszystkie jedną zanuciły piosenkę.

»Choć o chłodzie i głodzie,  
Pędzim życie na swobodzie«.

Śpiewały coraz prędzej, coraz żywiej i puściły się w taniec. Z głową pochyloną ku ziemi, z ogonem niemal na grzbiet podniesionym, a skrzydłami opuszczonemi ku ziemi poczęły zataczać koła drobnymi krokami. Jeden wzniesie się w górę, krzyknie głośniej: »czau... czau!...« i znowu dąży za innymi, śpiewając niby skoczną piosenkę:

»Choć o chłodzie i głodzie...«

Sowa patrzy i nadziwić się nie może, skąd te ptaki tak śpiewać i tańczyć umieją.

Dziwią się i inne ptaki, a zleciała ich gromada, niektóre próbowały nawet naśladować pociesznych tancerzy. Jemiołucha z tego powodu dwa razy z gałęzi spadła.

— Bardzo lubię takich figlarzy, przynajmniej ubawić się można. No, jeszcze, jeszcze, moje drogie — prosi sowa — dawno się tak nie śmiałam.

Wtem ktoś nad niemi zawołał: kr!... kr!... kr!... Ptaki podniosły głowy, ale, spostrzegłszy w górze tylko czarny punkcik, uspokoiły się nieco.

Sowa też widziała mały czarny punkcik w górze i ogarnął ją niepokój.

Zna ona dobrze ten głos, domyśliła się, skąd pochodzi...

— Kr... kr... r... r!... — rozległo się



znowu i na gromadę ptaków z szybkością strzały wpadł jastrząb.

Nienawidził on sowy, nie znosił nawet jej widoku i starał się jej dokuczać przy lada sposobności.

— Cóż to za krzyki i tańce? A! pani sowa widzę bal wyprawia?..

— Co za bal?! — odpowie sowa z udaną obojętnością — prosiłam przyjaciół moich, cietrzewi, żeby zatańczyły trochę i nic więcej.

— Odkąd-że to cietrzewie zostały pani przyjaciółmi? Czy od czasu, gdy im porwałam pisklęta?

— Wcale nie porwałam im piskląt.

— Nie mówię koniecznie o tych, które tu są... Lecz i te biedactwa jutro to samo spotkać może.

Cietrzewie, na te słowa, ogromnie

się przeraziły. Patrzą to na sowę, to na jastrzębia. W głowie im się kręciło, tak, że nawet jastrzębia nie poznały, domyślały się tylko, że mają do czynienia z drapieźnikiem. Po długim namyśle pofrunęły nakoniec do lasu.

— A to maleństwo co tu robi: kwiczoł, jarząbek, sikora; pocóżeście się pozlatywały?

— Na naradę, proszę wielmożnego pana; wezwała nas pani sowa, chcąc nas nauczyć, jak łatwiej pokarm znaleźć w zimie i uchronić się od nieprzyjaciół.

— A to krętacz z tej sowy! I cóż komu poradziła?

— Jeszcze nic, proszę pana — odpowiedziała sikora — bo najpierw opo-

wiadamy, jak sobie radzimy same, a pani sowa później rady nam udzieli.

— I wyście jej uwierzyli? A to głupcy, łatwowierni! Nie poznaliście, że to podstęp sowy. Chciała was wysłuchać po to, żeby wiedzieć, gdzie was później szukać w zimie.

— A-a-a-a! — zawołały jednogłośnie ptaki. — Prawdę mówi jastrząb, przecie już wróbla porwała. Uciekajmy, uciekajmy prędeż, bo może się źle skończyć.

I odleciały wszystkie.

— A teraz może pani sowa chciałaby ze mną porozmawiać, usłyszeć co o mojem życiu? — szyderczo naśmiewał się jastrząb.

Sowa spojrzała na niego z ukosa.

Zła była. Poszarpałaby go w kawałki za to, że jej tak popsuł sprawę.

— Potwór! — odezwała się z zawziętością i odleciała z niczem.

A ptaki od tego czasu jeszcze więcej boją się sowy i kryją się przed nią, jak mogą.



PRZED GWIAZDKĄ





Była zima. Śniegu napadało dużo i na ulicy i w ogrodzie i na podwórku.

Nie było jednak zimno, bo słońko przygrzewało z góry.

Na dziedzińcu bawiła się mała dziewczynka Kicia.

Ubrana w ciepły paltocik, na głowie miała kapturek, rączki w rękawiczkach, kamasze na nogach; mróz nie miał do niej przystępu.

Kicia dostała od wujka w podarunku małe sanki, w których teraz wozi dwie lalki.

Biegnie prędko, jak konik, a za sobą na śniegu zostawia ślady nóg i sanek.

W tym samym domu w bramie stała Gosia, córka stróża. Chusteczkę tylko miała na sobie. Widać, że jej było zimno, bo drżała i przestępowała z nóżki na nóżkę.

Gosia z zachwytem przygląda się jadącym lalkom. Długo patrzyła dziewczynka, nareszcie, nie mogąc wytrzymać, zbliżyła się do Kici.

— Niech mi panienka pozwoli przez chwilkę pobawić się temi sankami.

Ale Kicia spojrzała ze zdziwieniem na dziewczynkę i odparła niegrzecznie:

— Nie potrzebuję, sama chcę powozić.

I pobiegła dalej.

Gosia ją goni i prosi;



— Moja panienko, moja droga; raz tylko obwiozę dokoła.

Kicia nie zważa na biedną małą, lecz wciąż biegnie, aż wkońcu zmęczyła się i stanęła. Odwróciła się do Gosi i mówi:

— Idź sobie precz ode mnie, nie dam ci sanek.

Ale córka stróża nie odchodzi, nie spuszcza oczu z lalek.

Wtedy Kicia tupnęła nóżką i krzyknęła głośno:

— Słyszysz, idź sobie precz, idź zaraz!

I przystąpiwszy do Gosi, uderzyła ją z całej siły.

Biedna Gosia z początku zarumieniła się mocno, łzy nabiegły jej do oczu, usteczka zadrżały, a potem odwróciła się, twarz zakryła fartuszkem i zapłakała gorzko.

Kicia, jakby nic nie zaszło, pojechała dalej i bawiła się do obiadu.

Minęło kilka dni. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia.

Kicia oczekuje gwiazdki i wciąż rozmyśla nad tem, co jej święty Mikołaj przyniesie. Onaby mu na ucho powiedziała, czego pragnie, ale święty Mikołaj nie słucha nikogo, robi to, co sam uważa za dobre.

Kicia kładzie się do łóżeczka i myśli:

— Jutro, już jutro gwiazdka. Jut...r...o! ju...tro — powtarza przez sen dziewczynka i zasypia.

Zaledwie Kicia zamknęła oczy, spostrzega zbliżającego się do niej św. Mikołaja.

Ma on dwa worki, jeden pełen zabawek. Ach, cóż to za śliczności! Piękna

lalka, fortepian, cymbałki, piłka, bąki, loteryjka i wiele innych rzeczy.

Drugi worek mocno związany i nie wiadomo, co mieści.

— Ciekawa jestem — myśli Kicia — co też dla mnie św. Mikołaj wybierze. Ach, żeby tak ładną lalkę, albo cymbałki!...

Św. Mikołaj postawił oba worki przy łóżku. Nie otwiera żadnego, zamyślił się głęboko; potem westchnął i zaczął mówić cicho, przyglądając się Kici.

— A, przypominam sobie tę dziewczynkę, pamiętam, jak raz odepchnęła Gosię, nawet ją uderzyła...

Nigdy z biedną dziewczynką niczem podzielić się nie chce... To niedobre dziecko, samolubne... Dla takich nie mam zabawek, ale coś innego...

I zaczął staruszek rozwiązywać drugi worek, wyjął stamtąd maskę w kształcie łba jastrzębia, zrobioną z tektury.

— Jastrząb jest także samolubem, więc podobny do Kici; włożę go jej na głowę i przywiążę, niech tak chodzi przez święta, niech każdy wie, jaka ją kara spotkała.

Staruszek trzyma maskę w ręku i zbliża się do dziewczynki.

— Nie chcę, nie chcę! — krzyczy Kicia. — O jej, o jej!... mamó — woła na cały głos i zrywa się z łóżka.

W tej chwili się obudziła. Św. Mikołaja już nie było, a przy niej siedzi mama i tuli ją do siebie.

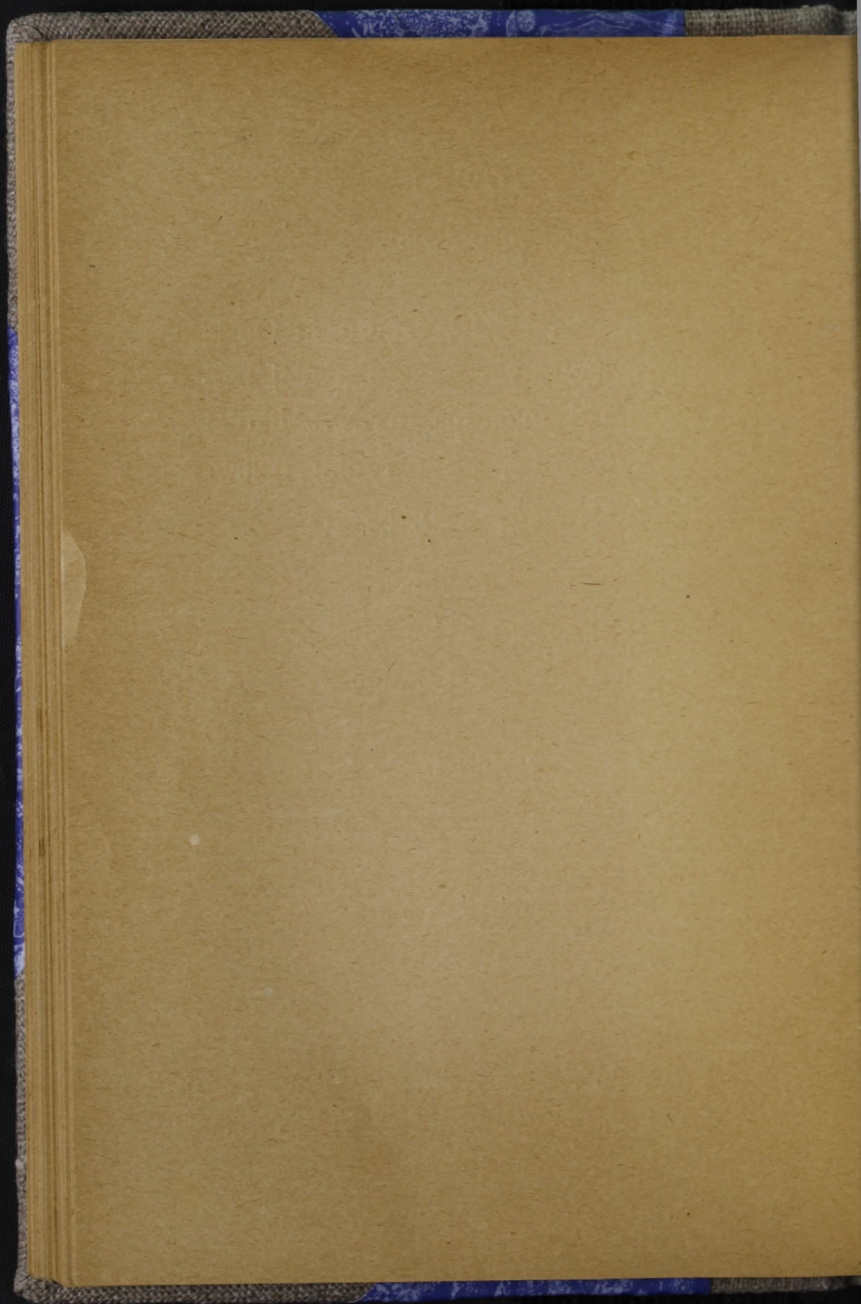
Kicia opowiedziała swój sen straszny i postępek z małą Gosią.

— Śpij teraz, moje dziecko, a jutro

jakoś ten błąd naprawimy — uspokajała ją matka.

I rzeczywiście, Kicia zaprosiła Gosię na Gwiazdkę; była teraz dla niej bardzo dobrą i grzeczną, a św. Mikołaj dał się przeprosić, bo dla obu dziewczynek przyniósł podarunki.





NIEDŹWIEDŹ ZE ŚNIEGU



18 S. S. 96.





— Śnieg pada! śnieg pada! jak to dobrze, jak się cieszę! — wołała Zosia.

To pobiegnie do okna, to podskoczy, klaszcze w ręce i nie może się na cieszyć.

— A cóż Zosi po śniegu?

— Jakto co? Czy to mało daje nam przyjemności?

— W niedzielę pojedę do babci sankami, tak prędko, a równo, jak po stole. Przy sankach jest dzwonek, który cały czas dzwoni — dyń-dyń-dyń... A Zosia to bardzo lubi. Ale najważniejsze i naj-

ciekawsze jest to, że Zosia zaczęła wczoraj z Julkiem lepić bałwana ze śniegu.

Julek jest synem stróża: chłopiec już duży, ma może z dziesięć lat — wybornie umie się bawić.

On to zaproponował Zosi zabawę śniegiem.

— Widzisz, Zosiu — mówi raz — zrobimy pysznego niedźwiedzia, prawdziwego, takiego, jaki stoi w oknie sklepu z futrami.

Dlaczegoż Zosia nie miałaby się zgodzić?

I zabrały się dzieci do roboty.

Zosia śnieg znosi, a Julek lepi bałwana.

Już dużo zrobił, ale niedźwiedź jeszcze nie skończony, nie ma przednich łap i głowy.

Ku południowi przestało padać, słońko wyjrzało i Zosia wybiegła na podwórko.

Pracowali dziś bardzo pilnie: chcieli koniecznie skończyć swojego niedźwie-  
dzia.

Zosia zasypana była śniegiem, ale to nic nie szkodzi, przecież śnieg, to nie błoto, paltocika nie zaplami.

A co ten Julek miał za pomysły przy robocie!

Oczy niedźwiedziowi zrobił z węgla, paszczę mu roztworzył, włożył w nią język bardzo podobny do prawdziwego, bo z czerwonego buraka.

Niedźwiedź miał minę rozwścieczono-  
nego, wyglądał tak, jak gdyby chciał zaraz rzucić się na kogo.

Dla większej uciechy dzieci dały mu w łapę kij duży.

Co było krzyku i śmiechu przytem — trudno opisać.

Ale przy tej zabawie zdarzył się przykry wypadek: Zosia zgubiła kalosz.

Szukała go długo, Julek jej pomagał. ale nigdzie znaleźć nie mogła.

Dziewczynka opowiedziała w domu swoje zmartwienie.

Mamusia poprosiła służącej, ażeby poszukała — ale wszystko napróżno.

Zginął kalosz — ale gdzie — nie wiadomo.

Trzeba było nową parę kupić.

Przez całą zimę niedźwiedź stał wyprostowany, niby żołnierz na straży. Zosia go codzień odwiedzała, pytała o zdrowie, opowiadała, co się zdarzyło nowego, a czasem włożyła do łapy zabawkę.

Nadszedł nareszcie marzec, a z nim i dni cieplejsze i jaśniejsze słońce.

Cieszyli się ludzie, że wiosna nastąpiła, ale Misio, widać, był innego zdania.

Z początku śmiał się, później krzywić zaczął, nos mu się spłaszczył, uszy obwisły.

Przeszło jeszcze dni kilka i coraz gorzej z nim było: zgarbił się, łapy mu odpadły...

Aż dnia jednego zaczął padać deszcz rzęsy, przez całe dwa dni dzieci wychodzić nie mogły. Niecierpliwiła się szczególnie Zosia, ciekawa, co się z Misiem stało.

A kiedy po dniach paru dzieci zeszyły się na podwórku, niedźwiedzia już nie było; zamiast niego powstała ka-

łuza wody, niby małe jeziorko, a pośrodku pływał... kalosz Zosi.

— Patrzcie-no — zawołała dziewczynka. Misio zabrał mój kalosz, bo mu zimno było zapewne. A myśmy go tak szukali.

I pobiegła zwiastować tę nowinę w domu.



SZARUŚ







Mały Kazio spieszy do szkoły. Mróz, co prawda, tęgi, aż śnieg pod nogami skrżypi, na drzewach pełno szronu — ale Kaziowi ciepło.

Otulony jest dobrze: ciepła szuba, kalosze, kamasze, rękawiczki, baszłyk — gdzież tu się mróz przeciśnie?

Skręca Kazio na drugą ulicę, a wtem przy parkanie widzi małego pieska: jedną łapkę skurczył i drży cały.

— Co ci to, pieseczku? — pyta Kazio, zbliżając się do niego.

Piesek ogonem macha, niby mówi, że mu jest niedobrze, i drzeć nie prze-

staje; od czasu do czasu nawet piszczy i oblizuje chorą nóżkę.

Kaziowi żal było pieska; zaczął więc prosić służącej, żeby go zabrała do domu.

Służąca chętnie zgodziła się na zatrzymanie psa w kuchni, dopóki Kazio nie wróci ze szkoły.

Długim wydawał się dziś chłopczykowi czas, spędzony w szkole. Niespokojny był o pieska. O nim wciąż myślał, chciał jak najprędzej powrócić do chorego.

Godzina druga nadeszła nakoniec i służąca zabrała Kazia do domu.

— Jest piesek? — pyta chłopiec jeszcze w drodze.

— Jest, jest, nakarmiłam go, śpi teraz.

Kazio o nic więcej nie pytał i prędko szedł do domu.

Zaledwie zdążył się rozebrać, pobiegł natychmiast do pieska, głaskał go, rozmawiał z nim.

— Widzisz, mój mały, byłbyś zmarł na ulicy, gdybyśmy cię nie zabrali. Kto nie ma ani kaloszy, ani kamaszy, powinien w domu siedzieć...

Kazio uprosił mamy, żeby pozwoliła zatrzymać pieska i odtąd wziął go wyłącznie pod swoją opiekę.

Zrobił mu ze starego dywana posłanie, parę razy na dzień przynosił mu w miseczce jedzenie, sam siadał na stoleczku i przyglądał się, jak piesek zjada. A ten wysuwa język i chlip, chlip! W jednej chwili sprząta swój obiad,

a nawet miseczkę wylize. Apetyt miał zawsze wyborny.

— Moja mamusiu — mówi raz Kazio — nie chcę już żadnych zabawek, piesek jest najzabawniejszy, chciałbym tylko dać mu jakie imię.

Długo się naradzali, jak najlepiej nazwać pieska i wkońcu postanowili dać mu imię Szaruś.

— Dobrze, niech będzie Szaruś; bo jest naprawdę cały szary. Żeby mu się tylko już nóżka zagoiła, to bawiłby się ze mną, a teraz ciągle leży, albo skacze na trzech nogach.

Nie długo czekał chłopiec; piesek wkrótce wyzdrowiał i rzeczywiście najlepiej lubił się bawić z Kaziem. Nawet do szkoły odprowadzał go i przypro-wadzał.

Razu jednego rzekł ojciec do Kazia:

— A wiesz co, synku, będziesz musiał rozstać się ze swoim przyjacielem: czytałem dziś w Kuryerze, że jakaś pani poszukuje tego pieska. Musimy jej go odesłać.

Kazio zmartwił się strasznie — on tak polubił Szarusia, a teraz musi go oddać.

Jednak ojciec ma rację — jeżeli piesek należy do tej pani, trzeba jej go zwrócić.

Łzy stanęły Kaziowi w oczach. Wziął pieska na ręce i zaczął go głaskać.

— Zabiorą mi ciebie, Szarusiu, zabiorą; już się nie będziemy gonili, bawili... Tak, pójdiesz do swojej pani.

A pies niby rozumie, liże ręce Kaziowi i główką kręci.

Następnego dnia, kiedy chłopiec powrócił ze szkoły, Szarusia już nie było.

Kazio zasmucił się bardzo, nawet mu się uczyć nie chciało, siedział i przypominał sobie, jak wczoraj jeszcze dobrze bawił się z przyjacielem.

Niechętnie teraz powracał do domu ze szkoły, bo wiedział, że nie czeka go tam żadna większa przyjemność.

Upłynęło dni kilka.

Siedzi Kazio razu jednego za stolikiem i ustawia z klocków domek, wtem drzwi się otwierają — wpada Szarus.

Rzuca się ku chłopcu, skowyczy, liże go, wywija ogonem, podskakuje...

— Szarus, piesku mój drogi, skądżeś tu przyszedł. Co? źle ci było beze mnie? Piesku mój.

Pieści go Kazio, zarumieniony z radości.

— Mamusiu, mamusiu — woła, biegnąc do matki — Szaruś wrócił.

— Uciekł zapewne. A to nicpoń, trzeba go będzie odesłać znowu przez służącą — odpowiedziała mama.

— Moja mamusiu, moja złota, tylko nie zaraz, niech się z nim pobawię troszeczkę, jedną godzinę, a później go odeślemy.

Matka pozwoliła. Kazio nie posiadał się z radości; bawił się z psem jak dawniej.

Wtem z salonu usłyszał głos matki.

Kazio przybiegł i zobaczył tam jakąś obcą panią.

— Moje dziecko — rzekła mama — to jest pani, do której ten piesek należy.

Kazio zarumienił się mocno i pomy-

ślał sobie: »przyszła po Szarusia i zaraz mi go zabierze«.

Ale nieznajoma zbliżyła się do Kazia i łagodnie spytała:

— Czy bardzo lubisz swego pieska?

— O, bardzo... — odpowiedział krótko chłopiec.

— To weź go sobie na własność. Widać, że i on się do ciebie przywiązał, bo ode mnie ciągle ucieka, nie mogłam go utrzymać w domu, a dziś sam wrócił do ciebie.

Kaziowi aż się w głowie zamąciło, z radości mówić zapomniał, pocałował tylko dobrą panią w rękę i pobiegł do swego pokoju.

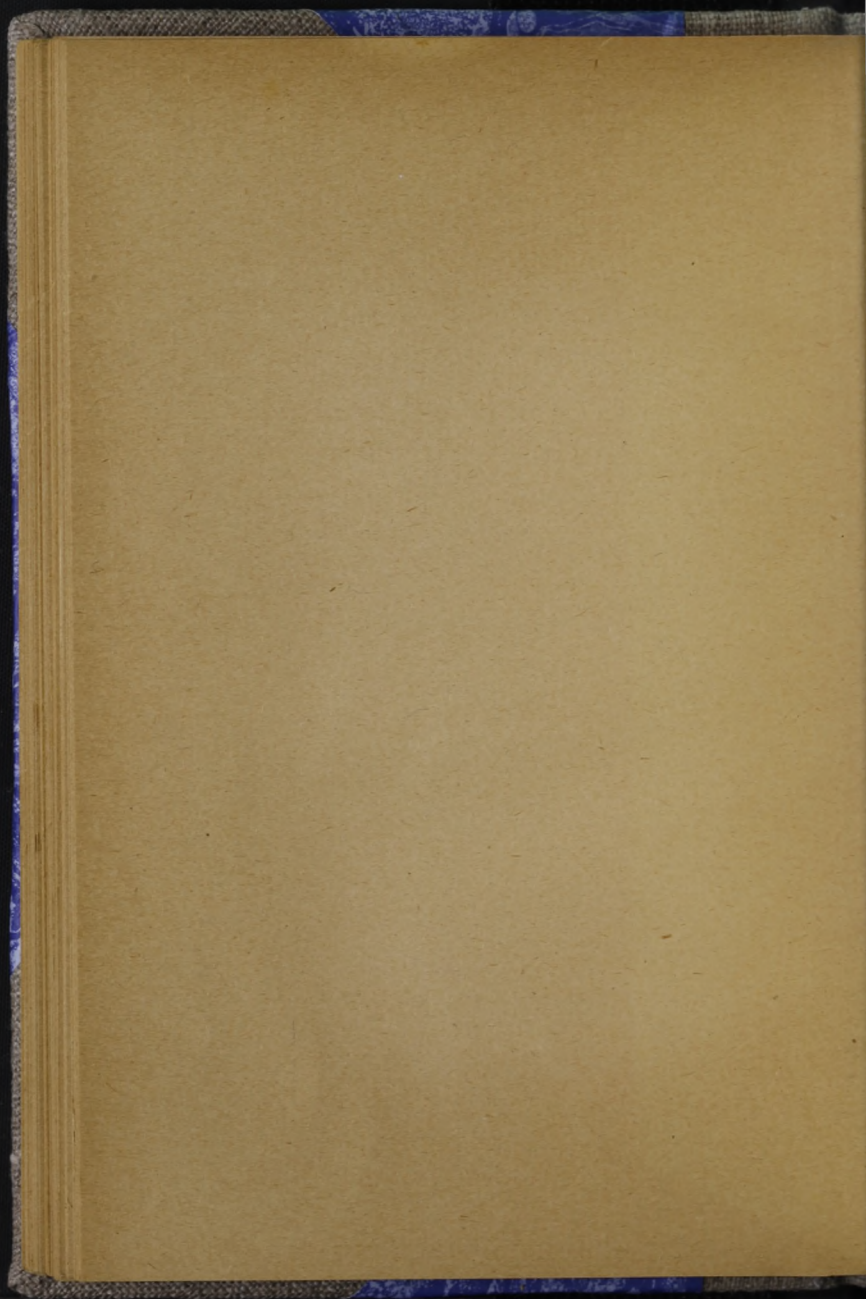
— Szarusiu, czy ty wiesz, że jesteś moim... Moim, zupełnie moim... Już nikt mi ciebie nie zabierze, nigdy, nigdy...



I zaczął pieścić Szarusia.

Pies zrozumiał widać, o co rzecz idzie, bo zaskowyczał wesoło, zaczął wywijać ogonem i lizał ręce młodemu swemu panu.





KTO TO?





— Dzień dobry, czytelniku drogi. Może się poznamy? Jak ci na imię? Powiedz, nie wstydz się... Ja się nazywam »Bobi«, a jak wyglądam, dowiesz się z mojej fotografii.

Jak uważasz, czy jestem ładną? Pewno niebardzo ci się podobam, widzę, że się uśmiechasz. Prawdę mówiąc, to i ja sama nie jestem sobą zachwycona.

Ale musisz mi przyznać, że przynajmniej ogon mam piękny. O, takim ogonem nie każde zwierzę poszczycić się może.

Ubieram się bardzo skromnie: mam tylko dwie sukienki na zmianę. W lecie jestem cała ruda, a w zimie popielata.

Dobrze, żeś się czytać nauczył; będę mogła ci opowiedzieć jedną z moich przygód i zarazem zanieść do ciebie wielką i gorącą prośbę.

Słuchaj:

Było to w zimie. A chociaż zawieje i mrozy nawiedzały nas często, jednak nie zazałam biedy.

Miałam mieszkanie ciepłe i wygodne w starej dziupli. Przytem poczciwi rodzice porobili znaczne zapasy na zimę, które przechowywali w innych dziuplach. Gdy mi się jeść zachciało — dostawałam zaraz orzeszek albo żołądz.

Razu jednego trzymam duży orzech w pyszczku i chcę przeskoczyć na są-

siednie drzewo — wtem owoc mi wypada na ziemię. Zaczynam go szukać — a tu ni stąd ni zowąd zjawia się jakiś chłopak — porywa mnie za grzbiet i unosi.

Zaczynam kręcić się na wszystkie strony, drapać go, palce do krwi mu pogryzłam, a ten nicpoń wciąż mnie trzyma.

Ogarnęła mię czarna rozpacz. Zamknęłam oczy i czekam, co będzie dalej, może się nareszcie zlituje. Ale czy to chłopcy tacy mają serce?

Przyniósł mię do swego domu, wsadził do dużej klatki i drzwiczki od niej zamknął.

Poznałam, że jestem w więzieniu.

Ach, żebyś wiedział, jaki straszny żal ścisnął mi serce!

A kiedy sobie jeszcze przypomniałam matkę moją ukochaną, rodzeństwo... One tam wszystkie razem siedzą w gniazdku, przytulone do siebie, a ja nieszczęśliwa uwięziona w klatce!

Tak rozmyślając, zapłakałam gorzko.

Tymczasem zbliża się znowu ten zbrodniarz i przynosi mi do klatki orzechów, jabłek, cukru; a do mojego więzienia przyśrubował z wierzchu jeszcze drugą klatkę.

— Czy on myśli, że potrzebuję jego orzechów? Naturalnie, że ich nie tknęłam.

Weszłam jednak do tej drugiej klatki, myśląc, że może stamtąd łatwiej się wydostanę.

Ale cóż ty na to powiesz? Była to dziwna klatka, w której, gdy się oparłam o jeden pręt, zaczęła się zaraz



obracać, a im prędzej chciałam chodzić, tem ona prędzej się kręciła; nareszcie chcę się już wydostać, a ta nie przestaje się obracać... Naturalnie dostałam okropnego zawrotu głowy.

Powiadam ci, że to były prawdziwe męczarnie. Za co, myślę sobie, ci ludzie tak się nade mną znęcają, co im złego zrobiłam!

Wydostawszy się wreszcie z tej piekielnej maszyny, padłam jak nieprzytomna na ziemię.

Upływa dzień, drugi, trzeci, a ja wciąż siedzę w więzieniu. Głód mi dokuczać zaczął, zjadłam parę orzeszków.

O, mój czytelniku drogi, gdy będziesz już dużym chłopcem, a uda ci się złapać wiewiórkę, nie trzymaj jej nigdy w niewoli, bo to dla niej największe

nieszczęście. Ja tego opowiedzieć wam nie umiem, jak strasznie wtedy cierpiałam.

Na szczęście, pewnego ranka chłopiec czyścił klatkę i po skończonej robocie zamknął drzwiczki nie dość szczelnie. Naturalnie natychmiast skorzystałam ze sposobności i myk... Wyskoczyłam na wolność.

A co tam gwałtu było, co hałasu! Chłopiec zwołał całą służbę, domowników, gonią, łapią mnie, ja uciekam...

Wdrapuję się na drzwi — oni za mną; ja na szafę — a oni stołki przystawiają; ja na ziemię... Wtem wchodzi służąca, szeroko drzwi otwiera... a ja myk! myk! i wymknęłam się szczęśliwie do ogrodu.

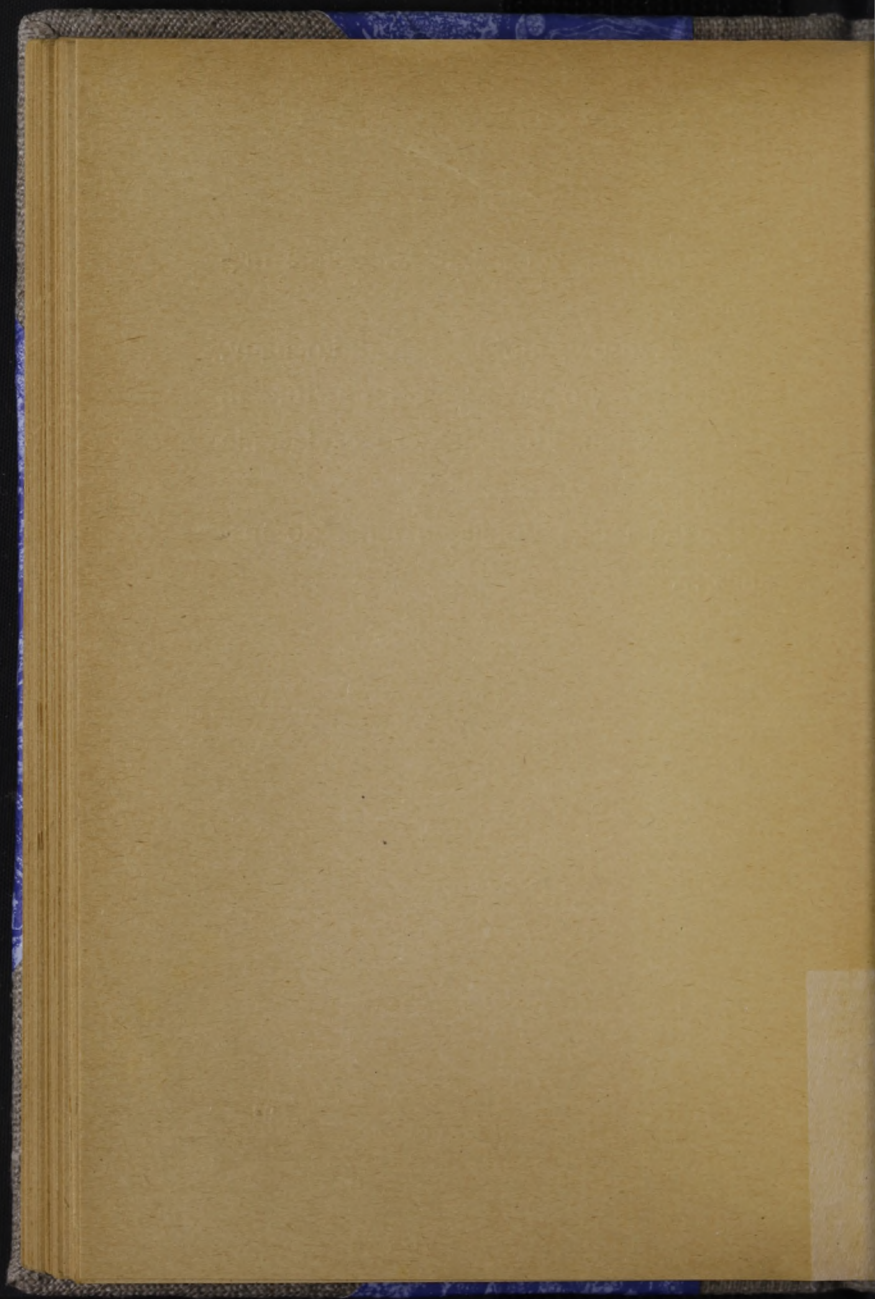
Gdyby nie ten wypadek, możebym

do dziś dnia znosiła te więzienne męczarnie.

Bądź zdrow, mój czytelniku kochany, pamiętaj o mojej prośbie i powtórz ją tym dzieciom, które jeszcze czytać nie umieją.

Żegnam cię! Pobiegnę teraz do mamusi...





PODSTĘP LISA



czy nie uda się porwać czego na śniadanie.

Naraz spostrzega pagórek.

— A — myśli sobie — zapewne to nora królików? Chociaż zwykle przebywają one w polu, ale kto wie, czy na zimę do lasu się nie przeniosły.

I nie myśląc długo, zaczyna rozgrzebywać pagórek łapkami.

Wtem wyskakuje borsuk, rzuca się na lisa i woła:

— Ty zbrodniarzu, ty darmozjadzie! Teraz jeszcze chcesz mi dokuczać? Załedwie uporządkowałem mieszkanie, przygotowałem się do spania, a on mi tu norę rozgrzebuje!

Czego chcesz znów odemnie?

Struchlał lis, ze strachu ruszyć się nie może, bo z borsukiem niema żar-

tów, zły jest strasznie, a rozgniewany nie oszczędza nikogo.

— Myślałem... myślałem... — bełkotał lis w trwodze.

— Cóżeś myślał, że dla ciebie przygotowałem mieszkanie?

— O nie — odpowiada lis, spuszczać oczy — myślałem, że tu ptaszki się kryją...

— Co? Ptaszki w ziemi?!!

— Nie, nie, nie ptaszki, tylko myszy... — bełkotał lis ogłupiały z przelęknienia.

— Eh, co też ten oszust wygaduje! Wynoś mi się coprędzej, bo jak mię raz jeszcze obudzisz, to jednej kosteczki całej w tobie nie zostawię.

Zerwał się lis i pędził teraz co tchu do domu.



Dość długo biegł, tymczasem ze strachu ochłonął i zwolnił kroku.

Wtem spotyka wilka.

— Jak się masz kumie — wita lis — dokąd idziemy?

— Dokąd, rzecz wiadoma: strawy szukać? W lecie nie było kłopotu, zawsze znajdzie się na polu baran, albo ciele, ale teraz...

— A jakże teraz sobie radzisz, kumie? — pyta lis zaciekawiony.

— Ano trudno, radzę sobie, jak mogę: to psa, to prosię porwę; właśnie idę na króliki, widziałem jak wyskakiwały z nory.

Lisowi na myśl o królikach oczy się zaiskrzyły.

— Gdzieżeś je widział? — pyta.

— A tybyś mnie chciał uprzedzić, o! znam ja was, umiesz podejść.

— E, gdzie tam, kumie, ot, przez ciekawość spytałem — mówi lis obojętnie — zresztą, co mi tam po jeźdzeniu...

— Albo co? — zapytuje wilk.

— Zasnę na zimę — tak, kumie, postanowiłem położyć się w norze i przespać zimę całą.

— Co też ty wygadujesz, czy my zasypiamy na tak długo?

— Nie zasypiamy, to prawda i źle robimy; cóż to, gorsi jesteśmy od jeża, borsuka, a choćby i niedźwiedzia? Oni się mądrze urządzają: jak zasną na jesieni, dopiero na wiosnę się budzą — nie zaznają ani zimna, ani głodu...

— A wiesz co, kumie, może i masz

słuszność — mówi wilk, namyślając się — możeby to lepiej było. Ale jak się do tego zabrać?

— W bardzo prosty sposób — kłamię lis. — Byłem właśnie przed chwilą u borsuka, żeby się dowiedzieć. Mówił mi, że trzeba przynajmniej ze trzy dni leżeć spokojnie, bez najmniejszego ruchu, z zamkniętymi oczyma, wtedy sen przyjdzie i będzie tak długi i mocny, że nic nie zdoła go przerwać.

— Dobrze, cóż to szkodzi spróbować? Ale możebym przedtem zjadł parę królików, bo to tuż na tej łące, pod krzakiem.

— O nie, kumie, nie róbcie tego. Borsuk mi mówił, że z pełnym żołądkiem nigdy zasnąć nie można..

— Niech i tak będzie, więc chodźmy.

Biegnie lis naprzód, spieszy się okrutnie, a wilk kroczy za nim z powagą.

— Kumie — pyta wilk nagle — a czemu to zające, króliki, kuny i inne zwierzęta nie zasypiają na zimę?

— Bo głupie — odpowiada lis — nie wiedzą, jak się wziąć do tego. Wiadoma rzecz, cóż tam za rozum może być w takich stworzeniach.

— No, bądź zdrow, kumie, pamiętaj o moich przestrofach, a ja biegnę do nory.

Wilk postąpił sumiennie według rady lisa, ale na nic się nie zdało — sen nie przychodził, ale głód dokuczał mu coraz bardziej.

Wkońcu wytrzymać nie mógł, zerwał się i pobiegł w pole, gdzie widział niegdyś króliki.



Była jesień. Na drzewach ukazywało się coraz więcej suchych liści, a i na ziemi leżało ich sporo.

Przez las biegł lis zdyszany; nie zważał na nic, co go otaczało.

Nagle napotkał niezwykłą przeszkodę — przed nim po ziemi posuwał się zwolna stos żółtych liści. Zmyślny lisek wiedział, że liście same nie chodzą; postanowił więc się przekonać, co by to być mogło?

— Jakiś potwór łązi widocznie — myśli sobie i zbliża się ostrożnie.

Tymczasem stos liści staje.

To jeszcze więcej zaciekawia lisa: przysuwa się i mocno uderza łapą liściastego potwora.

— Oj — zaskomlał, chowając łapę — cóż to za szkaradzieństwo! A to mię ukłuło, jakby kto dziesięć igieł w łapę mi wpakował.

Lis oblizuje skaleczone miejsca, z których tu i owdzie krew się sączy.

Nareszcie się domyślił, co to za stworzenie. To jeż, na którego oddawna miał wielki apetyt, ale którego nigdy złapać nie mógł, bo jeż na widok wroga zawsze zwijał się w kłębek i bronił się kolcami.

— Powiedz-że mi przynajmniej, gdzieś się tak przystroił — pyta lis jeża — czy chcesz straszyć kogo w lesie?

Ale nadzieja zawiodła biednego wilka:  
z królików żaden już się nie pokazał,  
bo je lis dawno uprzął.

Domyślił się wilk, po niewczasie,  
niecnego podstępu kuma, ale już rady  
nie było.







NIESZCZĘŚCIE WOJTKA

10\*





Zima. Okropne mrozy.

Słońko wstaje leniwo za ledwie o dziewiątej; ukaże się z poza dachów, zatrzyma chwileczkę na wierzchołkach drzew, zaigra na śniegu i już znowu ucieka.

W ubogiej chałupce Magda rozpałała ogień, żeby się ogrzać i przyrządzić wieczerzę, a około niej bawią się dzieci: dwie dziewczynki przegładają gałganki w pudełku, a chłopiec, Wojtek, kręci się po izbie — to podskoczy, to gwiźnie, to zaśpiewa. Bardzo jest wesół widocznie.

Bo też wielka radość go spotkała: chrzestny ojciec darował mu aż trzy ruble na buty.

— Masz, zuchu — mówi — kupisz sobie nowe buty u szewca, bo widzę, że z tych palce ci wyłażą.

— Oj wyłażą, już dawno wyłażą — myśli Wojtek — nawet to żadne buty, jeno stare trzewiki. Dała mi je matula, bo zimno bardzo za nogi chwytało.

Długo naradzał się z matką, kiedy i gdzie kupić buty i wkońcu postanowili, że w niedzielę pójdzie Wojtek do miasteczka i kupi buty prawdziwe — z cholewami i obcasami u szewca, Kopcza, który mieszka przy kościele.

Ledwie się chłopiec doczekał niedzieli.

Obudził się wcześniej, jeszcze ciemno

było i zaraz zaczął wybierać się do miasta.

— Ej, synu, może odłożysz do przyszłej niedzieli tę podróż. Patrzno, jaki mróz na dworze, aż na okna powchodził.

— Co mi tam mróz, matulu, pobiegnę, to się rozgrzeję.

I poszedł Wojtek.

Do miasteczka mila drogi. Mróz był tego dnia tęgi.

Chłopcu aż włosy pobieleały; ale nie zważa na zimno i biegnie, tylko śnieg mu skrzypi pod nogami. Zimna w sobie jakoś nie czuje, ale przez dziury w trzewikach mróz dostał mu się do nóg.

Wojtek stanął, zaczął ruszać palcami. Zimno.

Uszedł jeszcze parę kroków, a nogi coraz bardziej mu kostnieją.

— Wiem co zrobię — myśli chłopiec — usiądę na nogach, to je ogrzeję. Niewiele to jednak pomogło.

Zdjął wtedy paltocik i owinął nogi. Zimno mu było, co prawda, ale nie zważał na to.

— Żeby nie nogi — myśli sobie — wszystko byłoby dobrze, zaszedłbym już z pewnością do szewca.

— E, co tam! Nic nie szkodzi, że przyjdę trochę później, za to z powrotem jak pobiegnę w nowych butach!... Nikt mnie wtedy nie dogoni!...

No, dość tego, trzeba się spieszyć.

Wstał Wojtek, ale nóg pod sobą nie czuje; chce poruszyć palcami i nie

może. Szczególniej u tej nogi w dziurawym bucie.

Ledwie się posuwa, a prędzej iść ani sposób.

Markotno zrobiło się chłopcu.

Wtem patrzy — przed nim stają sanki.

— A ty co tu robisz na mrozie, smarkaczu? — zapytuje pan z sanek.

Wojtek obejrzał się i poznał księdza. Chciał coś odpowiedzieć, ale łygo dławić zaczęły.

— Mróz... przez... dziu...rę... do nogi doszedł... iść nie... mogę...

— A pilno ci było na taki mróz wychodzić? Prawdziwe utrapienie z tymi malcami!... Mogłeś na śmierć zamarznąć.

No, cóż stoisz! włącz do sanek!

Wojtek znał dobrze księdza, wiedział,

że udaje on tylko zagniewanego, a złości w sobie nie ma wcale. Kocha malców, jak własne dzieci.

Z trudnością wszedł do sanek i usiadł obok stangreta.

— Poganiaj tam konie prędzej! — woła proboszcz na woźnicę.

Niespokojny był o chłopca.

Ksiądz jechał do tego samego miasteczka, do którego spieszył Wojtek, i stawał zwykle u krewnych.

Wkrótce przybyli na miejsce.

Proboszcz kazał czempredzej zdjąć chłopcu trzewiki, obejrzał nogi i przekonał się, że były zupełnie białe.

— Odmroził... Rozetrzyjcie mu natychmiast śniegiem — woła ksiądz zakłopotany.

Ale i nacieranie niewiele pomogło.



Wojtek nie rozumiał prawie, co się wkolo niego dzieje, gdyż zaraz po przyjeździe dostał silnej gorączki i długo leżał nieprzytomny.

W malignie zdawało mu się, że ma piękne buty z cholewami.

— Matulu — woła — pójdę w butach do szkoły... Maćkowi nie dam... Nie ruszaj!... nie ruszaj moich butów!... Stasiak — chcesz? To ci pożyczę na godzinę... tyś dobry chłopak...

Upłynęło wiele dni i wiele niedziel.

Pewnego dnia nakoniec Wojtek otwiera oczy, rozgląda się i nic nie rozumie, co to wszystko ma znaczyć: leży w łóżku, dokoła niego dużo innych łóżek. Pani w białym czepku chodzi od jednego do drugiego.

Przy nim siedzi jakaś kobieta i płacze...

Co to wszystko znaczy?

Wojtek chce spytać — ale mówi tak cicho, że go nie słyhać prawie.

Kobieta podnosi jednak zapłakane oczy i wpatruje się w niego...

— Wojtku, dziecko drogie, nie śpisz?

I znowu zaczęła płakać i całować chłopca.

— Nie poznajesz matki swojej?...

Wojtek trochę oprzytomniał — ale jeszcze nie rozumie, po co tutaj leży?

Wkrótce opowiedziała mu matka, że jest w szpitalu, że długo chorował, że w chorobie odcięto mu nogę, którą odmroził...

Teraz dopiero poczuł, że nie ma jednej nogi i gorzko zapłakał.

Długo jeszcze biedak leżał w szpitalu. Gdy wyzdrowiał, sprawiono mu

kulę drewnianą i został na zawsze kaleką.

Zacny i dobry proboszcz odwiedzał go i obiecał zabrać do siebie, skoro tylko wróci zupełnie do zdrowia.

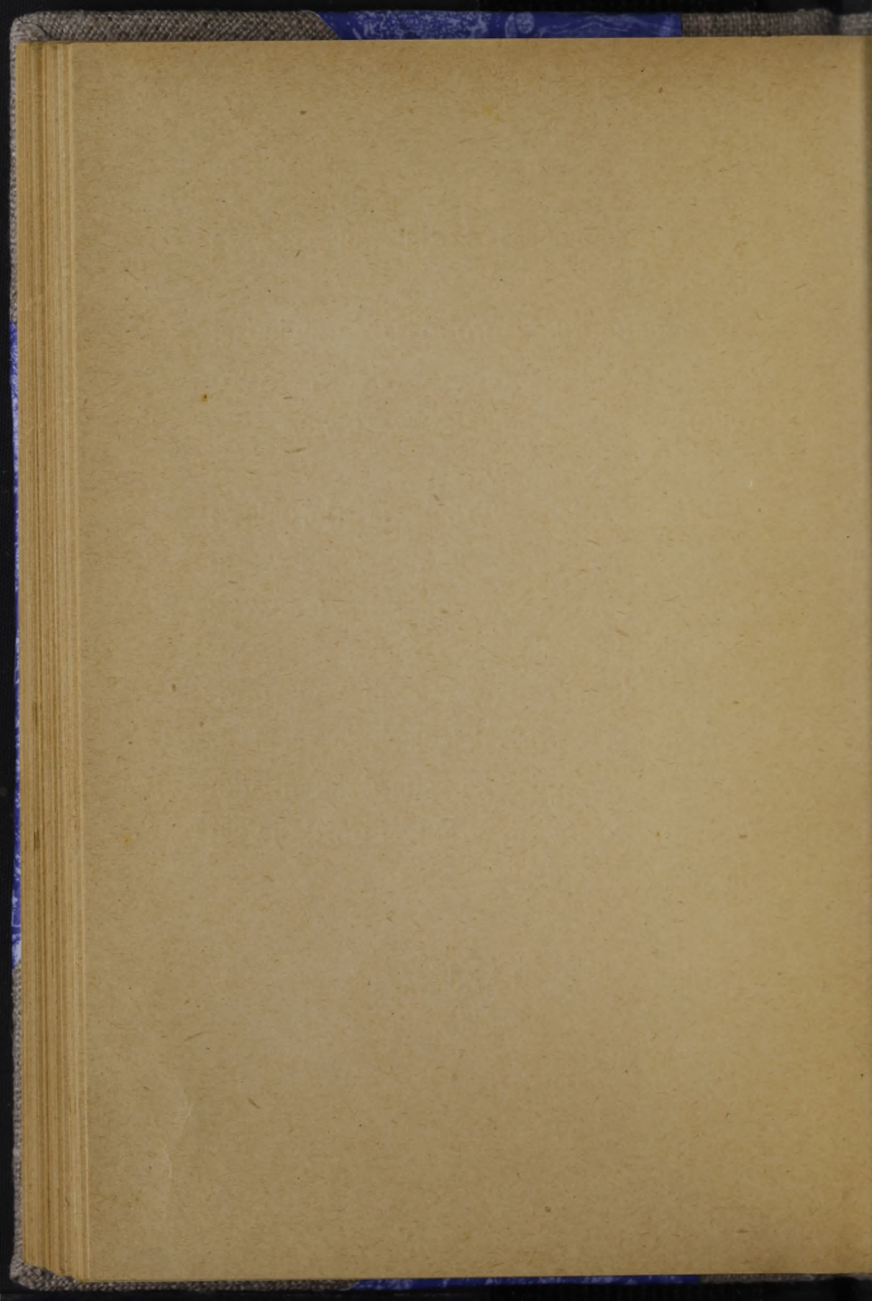
Tak się też stało.

Dziś Wojtek wyrósł na dorosłego mężczyznę, pracuje na plebanii i wszędzie go pełno: każdemu usłuży i wszystko potrafi zrobić.

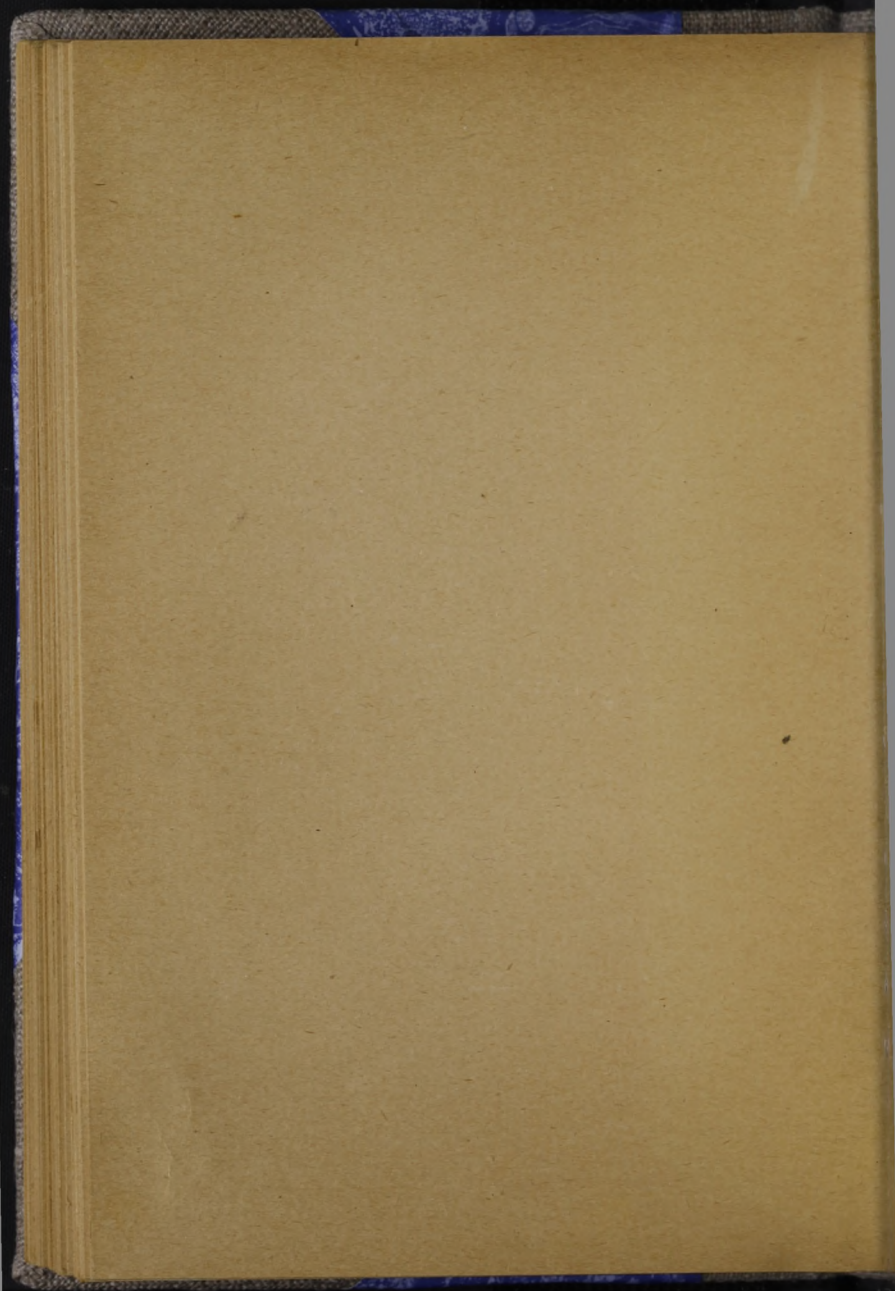
Do kuli się przyzwyczał i w robocie nikomu wyprzedzić się nie da.

Przy nim mieszka staruszka matka i siostry, które utrzymuje i opiekuje się nimi serdecznie.





PRZYKRY ZAWÓD



Jeż nic nie odpowiada. Wie on dobrze, że skoro wysunie pyszczek, nieprzyjaciel łatwo schwytać go może.

— No, odezwij się przecie, gburze! — i znowu łapą go potrącił. — U-u-u... — zawył lis — jakież to kolące.

Jeż, widząc, że tu niema wielkiego niebezpieczeństwa, wysunął trochę pyszczek.

— Nie przebierałem się, tylko liści nzbierałem na zimowe posłanie.

— A — zawołał lis — to ty zaśniesz w zimie?

— Zasnę i nie spotkam ciebie więcej, szkaradniku. Dobrze mi będzie. Przykryję się liśćmi i o niczem wiedzieć nie chcę. Niech tam sobie śnieg pada, zawierucha się sroży, mróz — spać będę jak zabity.

Lis natychmiast zmiarkował, że w czasie tak mocnego snu łatwiej możnaby jeża schwytać. Przybiera więc łagodną minkę i rzecze:

— Nie unoś się tak, przyjacielu, ale powiedz lepiej, gdzież to twoje przyszłe mieszkanie? Może wstąpię kiedy zobaczyć, czy ci się co złego nie stało.

— Obejdzie się — odburknął jeż i znowu skręcił się w kłębek.

Długo lis czekał na dalszą podróż jeża, chcąc wysledzić jego zimowe mieszkanie, ale zwierz ani myślał się poruszyć.

— Gbur stary, nie zna się wcale na grzeczności! — mruknął złośliwie lis i poszedł dalej.

Idzie zwolna, rozglądając się po lesie,





Kiedy cielę po raz pierwszy świat ujrzało, było jeszcze bardzo małe, może nie większe od naszego psa, Burka. Włos miało najeżony, mały tułów i długie cienkie nogi, które się wciąż rozsuwały.

Krzyknęło z radości i wierzgnęło parę razy tylnymi nogami.

Matka też bardzo była rada z córeczki.

Pieściła ją, lizała i poila ciepłym mleczkiem.

Upłynęło kilka miesięcy. Cieleń podrosło i zaczęło chodzić z matką na pola, zajadać zieloną trawkę na kwiecistych łąkach.

Trwało to jednak bardzo krótko.

Niedobry pastuch, Bartek, zamknął wszystkie krowy w dużej, ciemnej oborze i nie wypuszcza ich wcale.

— Co mu przyszło do głowy? — myśli cieleń — aby nas tak więzić... Ten stary wyobraża sobie, że skoro nas nakarmi i napoi, to już nam i dobrze. Aha!... W tej ciemnej dziurze i biegać swobodnie nie można. Jeżeli zrobisz parę skoków, to za trzecim z pewnością łeb sobie rozbijesz o ścianę. Ja tak długo nie wytrzymam...

Niech sobie krowy zostają przy żło-

bach i gryzą suche siano, a ja pobiegnę na łąkę... do zielonej trawki...

Cielątku tak się ta nowa myśl podobowała, że zaczęło biegać i brykać po oborze.

A tu i Marcinowa przyszła z cebrem doić krowy.

Cieleń zbliża się do niej — wie dobrze, że stara ma dla niego chleb z solą — to nielada przysmak.

Zaczyna Marcinowa doić białoche — wtem widzi, że cielę próbuje drzwi otworzyć.

Obora była tylko przymknięta i cielę o mało co nie wyskoczyło.

Porwała się kobieta, odpędza ode drzwi, a ono tak się rozgniewało, że nastawiło łba na Marcinową — chciało

ją na śmierć zabość, tylko na nieszczęście jeszcze rogów nie ma.

Zaczęło więc kopać ze złości nogami, i wkońcu przewróciło ceber z mlekiem.

Teraz Marcinowa się rozgniewała.

Wzięła różgę i wychłostała głupie stworzenie, co się zowie.

— Niech sobie bije — myśli cielę — a ja się dostanę na pole!

I postawiło na swoim.

Pewnego dnia przynosi pastuch dużą wiązkę siana.

Miał obie ręce zajęte, więc nie mógł zamknąć drzwi za sobą.

Skorzystało z tego cielątko i wyskoczyło na dwór.

Bartek nawet nie spostrzegł tego; na podwórku także nikogo nie było

w tej chwili i cielątko wyslizgnęło się za furtkę. Pędzi galopem na zieloną łąkę — a wtem spostrzega dokoła śnieg biały, okropnie ślizki.

— Co u licha, czy ja zablądziłem, czy źle idę? Przecie na własne oczy widziałem tu zieloną trawę...

Biegnie dalej — śnieg, wszędzie śnieg tylko...

— Be-be-be... — woła cielę przerażone — co się z ziemią stało, gdzie się podziała trawa, kwiatki, listki?... Wszystko gdzieś zginęło.

Nie mogło się dość nadziwić; stanęło, rozstawiło nogi, głowę spuściło i myśli...

Wtem czuje okrutne zimno.

— Be-e-e... — zawołało na cały głos — jak tu zimno! Be-be... — krzyczy — cały świat się zmienił.

Chciałoby wrócić do domu... idzie w jedną stronę, w drugą i błądzi niebożątko.

Niewiadomo, coby się stało z biedactwem, gdyby nie przejeżdżał tamtędy stangret ze dworu.

Zobaczył zmarznięte zwierzę, zbliżył się, wziął je na ręce i położył na sanki.

Cielątko nie sprzeciwiało się temu zupełnie, bo drżało z zimna i strachu.

Wielka radość była we dworze, gdy mały zbieg się odnalazł, a najwięcej ucieszona była krówka, że znowu ma córeczkę przy sobie.

Cielątko też z przyjemnością wróciło do obory.

Odtąd odechciało mu się spacerów zimowych.



167

PRZYGODY ZAJĄCZKA







— Mój Boże, cóż ja złego zrobiłem na świecie, że tak mnie wszyscy prześladowają?

Ludzie, psy, lisy, jastrzębie... wszystko czyha na moje życie...

Nawet głupia wrona, i ta gotowa mię porwać, gdyby tylko unieść mogła.

Tak lamentował zajączek, przykucnąwszy za krzakiem.

Ogrzewał łapki jedną po drugiej, bo wielki był mróz dnia tego.

— Gdyby nie moje uszy — myślał zajączek — dawnobym nie żył na świecie.

Wtem rozległo się skrzeczenie sroki. Zerwał się nasz szarak — biegnie co tchu...

Wie on dobrze, co znaczy ten głos sroki: zwołuje ona inne, ażeby razem łatwiej zajączka rozszarpać.

Długo uciekał biedak, aż nareszcie zatrzymał się na brzegu lasu, przy sosnie. Zaledwie mógł oddychać ze zmęczenia.

— Oj dolaż moja, dola!... Całe życie tylko uciekaj!...

Tymczasem zerwała się straszna zawieja. Wiatr porywał śnieg, kręcił nim w powietrzu i zanosił niewiadomo dokąd; zmiatał pola, pagórki, rowy śniegiem zasypywał...

— Już po mojej kotlince — myśli zajączek — śnieg zasypie mi ją

zupełnie, rozwieje moje ciepłe posłanie.

Odwrócił się tyłem do wiatru i czeka, aż ucichnie.

A tymczasem całą górę śniegu nawiało pod sosną, gdzie chciał przecze-kać burzę.

Długo nasz szarak siedział spokojnie, lecz wkońcu znudziło mu się i postanowił wydostać się z pod tego przykrycia.

Udało mu się.

Ale jakież było jego zadziwienie, gdy spostrzegł, że kupa śniegu stoi nieruchoma i że domek prawdziwy zrobił się dla niego.

Z wierzchu śnieg stęzał i utworzył dach, a pod spodem było tyle wolnego miejsca, że zajączkowi może być zu-

pełnie wygodnie. Nie spodziewał się, że takie mieszkanie mieć będzie i cieszy się ogromnie. Zapomniał nawet o swoich nieszczęściach.

A tu i słońko zajrzało do otworu jego nowego mieszkania. Jeszcze weselej!

Razu jednego nasz zajaczek ogryza korę i tak myśli:

— Nie tylko tu ciepło, ale i spokojnie, żaden nieprzyjaciel nie znajdzie mię tu chyba.

Naraz słyszy huk okrutny...

Zerwał się, dał parę susów i ukrył się w krzaku.

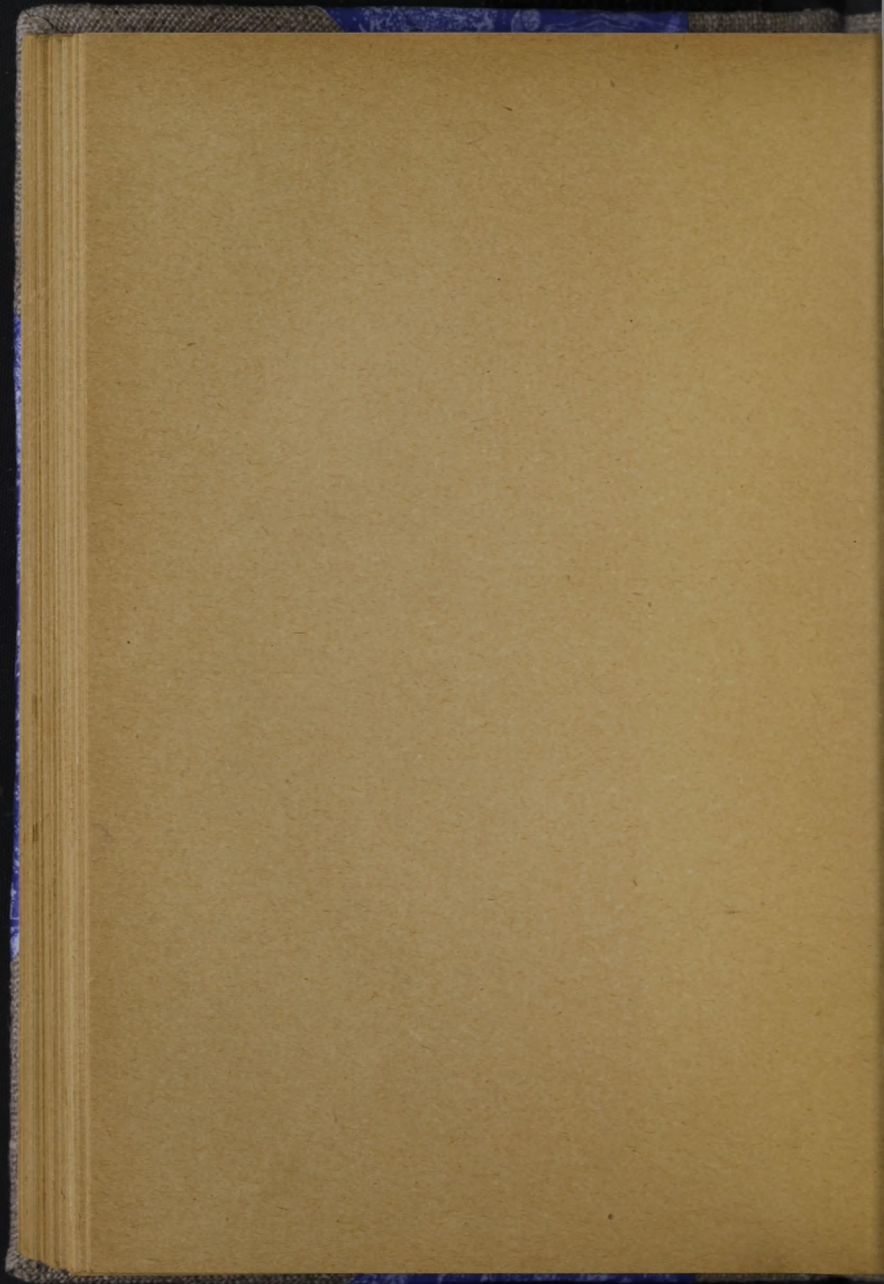
— Cóż to znowu za potwór i tutaj mię znalazł — myśli zajac.

Pocichutku podnosi głowę, zagłada... to szyszka spadła z sosny na jego domek...

Uspokoił się zajacek i wrócił do swej kryjówki.

— Hhm... — myśli sobie — powiadają ludzie — że jestem zanadto tchórzliwy — może to i prawda!...





175

MAŁY ŻEBRAK







— Litościwa pani, pomóżcie biednej i chorej kobiecie. Bóg wam to wynagrodzi.

W ten sposób prosiła jakaś kobieta przechodniów, stojąc na rogu ulicy.

Żebraczka była bardzo ubogo odziana i aż zsiniała z zimna; to też otulała ręce chustką.

Koło niej kręcił się synek jej, mały Stasiek.

Trudno mu ustać na miejscu, jak zwykle dziecku.

To wskoczy na kamień, to pobiega po chodniku, to na jednej nodze poskacze, to psa zacznie gonić; — słowem Stasiak ciągle jest w ruchu.

Wtem przechodzi jakaś pani bogato ubrana, w pięknej sukni i kapeluszu.

Stasiak zabiega jej drogę i cieniutkim głosikiem prosi:

— Proszę paniusi, choć grosik na chleb...

Ale elegancka pani przeszła obok chłopca i wcale nań nie spojrzała. Przechodzi teraz koło matki. Znowu uboga kobieta wyciąga rękę i kłania się nisko.

— Mój Boże! — myśli Stasiak — ile to razy na dzień moje matczysko się ukłoni, ile razy rękę na mróz wyciągnąć musi, a tak rzadko coś dostanie.

— Chodźmy, mały — zwraca się

żebraczka do syna, widać, że już nie doczekam się dziś nic lepszego.

Po drodze wstąpili do sklepiku, kupili funt chleba razowego, za grosz soli i poszli do domu.

Mieszkanie ich składało się z małej komórki bez okna. Całe umeblowanie stanowiły: łóżko, stół i ławka.

Głodni wrócili do domu i wkrótce zabrali się do kolacyi.

Matka połamała chleb na mniejsze kawałki, posypała solą, podała Stasiowi i sama jadła.

A jednak pamiętali oni lepsze czasy.

Stasiek nawet pamięta, kiedy żył ojciec jego, stolarz, a matka trudniła się praniem; mieli wtedy dwa duże pokoje z oknami, dużo krzeseł i kilka stołów, a w oknach stały kwiatki... Pa-

mięta, jak codzień z rodzicami jadł obiad i to prawdziwy, z zupą i mięsem — jak zrana pijali kawę... Ale później wszystko się zmieniło: ojciec umarł, a w rok potem matka gorącą wodą oparzyła sobie rękę. Od tego czasu prac już nie mogła, ani żadnej innej podjąć się roboty.

Posprzedawała, co mieli, a wkońcu musiała pójść żebrać.

Rozmaicie się zdarzało.

Czasem uzbiera trochę pieniędzy, a bywały dni, że i dwóch groszy nikt nie da; wtedy Stasiak idzie spać głodny.

Krótko trwała kolacya. Stasiak prędko wskoczył do łóżka — ale jakoś nie mógł zasnąć.

Już i matka się położyła, lampę zgaszono, a chłopiec wciąż się kręci.

Łóżko wilgotne i zimne, dziecko nie może się rozgrzać.

— Mamo — pyta mały — czy to prawda, że są na świecie tacy ludzie, co jedzą dwa razy obiad — w południe i wieczorem?

— Prawda, synku — odpowiada matka.

— A czy prawda, że są takie dzieci, co mają własne łóżeczko, takie małe, jak one same, a takie ładne, jak zabawki w sklepie, a ciepło w niem jest tak, jak w ustach moich? — to mi Walek z podwórka mówił.

— Śpij-no, śpij, co tam wygadujesz — wielkie rzeczy, że mają, co nam do nich.

— E... takim to dobrze — mówi Stasiak.

Długo jeszcze chłopiec kręcił się i myślał o tem, co mu syn stróża opowiadał.

Przykrył nareszcie głowę kołdrą i zaczął chuchać.

To się u niego nazywało »palić w piecu«.

Ogrzał się trochę i zasnął.

Drugiego dnia bardzo wczesnie pobudzili się nasi żebracy i drżąc z zimna wyszli na ulicę.

Mróz ścisnął... aż pod nogami skrzypiało.

Stasiek drży, chowa ręce, chucha i wciąż się kuli i kuli — strasznie mu zimno dziś dokucza.

Przebiegł na słoneczną stronę ulicy, może się tam ogrzeje.

A ludzi coraz więcej — jedni spie-

szą do biura, drudzy do kościoła, dzieci do szkoły...

Wtem widzi Stasiek, że jakiś staruszek zbliża się do niego i mówi: »Chodź mały za mną«.

Chłopiec idzie posłusznie... a pan ów wstępuje do rzeźnika, kupuje dwa serdelki i oddaje malcowi.

— To będziesz miał na śniadanie — rzekł do niego. — Weź jeszcze te dwie bułeczki.

Staś zarumienił się jak jabłuszko. Biegnie do matki pochwalić się, co go spotkało.

— Matulu, weźcie jeden serdelek, a ja zjem drugi, to musi być bardzo smaczne.

— Zjedz sam synku, ja kupię sobie później chleba — odpowiada matka.

— Nie chcesz — to ci zostawię na kolacyę, będziesz miał takie jedzenie, jak ci państwo, o których ci Walek opowiadał.

Chłopiec schował jeden serdelek do kieszeni, a drugi zjadł tak prędko, że ani się spostrzegł, kiedy za serdelkiem i bułeczka poszła.

— W moim żołądku, to chyba zmieściłoby się z dziesięć serdelków! — zawołał. — Ale tego drugiego za nic w świecie nie zjem, niech i matula spróbuje.

Ku wieczorowi mróz wzmógł się bardziej.

— Idź do domu, synku — mówi zbiedzona kobieta — bo mi tu zmarzniesz; ja przejdę jeszcze pod cukier-



nię, może tam co dostanę, bo dotąd zaledwie pięć groszy uzbierałam.

— E, matulu, wolę zaczekać... Ot, może ten pan co da, to będziemy mieli kolacyę.

Pobiegł Stasiek do wysokiego pana.

Ale pan lepiej w płaszcz się zawinął, nastawił kołnierz i prędko poszedł dalej.

Stasiek smutny wrócił do matki.

— Matusiu, czy ci państwo wszyscy są tacy biedni, że grosika nawet dać nie mogą?

Matka nic nie odpowiedziała, tylko westchnęła ciężko.

Stasiek postął przy niej jeszcze trochę, lecz mróz brał coraz większy — usłuchał więc jej rady i poszedł do swej komórki.

Tam zapalił lampkę, wyjął z kieszeni

serdelek i bułkę i położył na stole dla matki.

Ale głód zaczął mu dokuczać strasznie.

— Nie! nie zjem, matka przyniesie chleba, to się najem. Ach, jak ten serdelek pachnie! Jak on smacznie pachnie!

Ogląda go na wszystkie strony, aż mu ślinka idzie do ust.

— No, tylko skórkę zdejmę, to zjem, a serdelek dla matuli.

Zjadł Stasiak skórkę i uszczypnął kawałeczek bułki.

— Dobra — a dobra... zupełnie jak z cukrem... Ale lepiej nie patrzeć.

Odwrócił się, pochodził po izdebce, potem położył się na łóżku i czeka na matkę.

Niedługo tak leżał, sen go wkrótce zmorzył i zasnął.

Nazajutrz budzi się Stasiek — a matki niema.

Wybiegł czempredzej na ulicę.

Matula mówiła wczoraj, że będzie stać przy cukierni — pobiegnę... Ale dlaczego na noc nie przyszła do domu?

Przy cukierni nie znalazł matki.

Zmartwił się okrutnie chłopczyzna; oparł głowę o ścianę, zakrył oczy rękami i płacze.

— Tato — pyta mały chłopczyk, przechodząc z ojcem koło Stasia — to jakiś mazgaj, patrz, jak płacze.

— A cóż, urwisie, mało jeszcze do stałeś, że się mażesz? — zawołał łobuz uliczny i zaczął szturchać biedaka.

Chłopiec nic nie odpowiedział, rękawem otarł nos i oczy i poszedł na róg

ulicy, gdzie wczoraj stali z matką. Ale napróżno.

— Zajrzę — myśli sobie — może do domu wróciła.

Biegnie co tchu, wpada do mieszkania — ale komórka pusta, tylko pies pod stołem zjada resztki serdelka.

— Matulu, matulu, moja droga, jedyna, gdzieś ty się podziała — woła zrozpaczony Stasiak...

Wieczorem matka także nie wróciła.

Wreszcie dowiedział się chłopiec od stróża, że matka jego zasłała w nocy na ulicy i że ją odwieziono do szpitala, gdzie umarła.

Biedny Stasiak gorzko płakał po matuli, smutno mu było zostać samemu na świecie.

Bartłomiej, stróż poczciwy, zaopieko-

wał się sierotą i umieścił go w Zakładzie dla sierót.

Jakaś dobra zakonnica wyszła na spotkanie Stacha, pocałowała go w główkę i powiedziała z dobrocią:

— Nie martw się, dziecino, źle ci tu nie będzie; za matkę módl się, a my się postaramy zastąpić ci ją tymczasem.

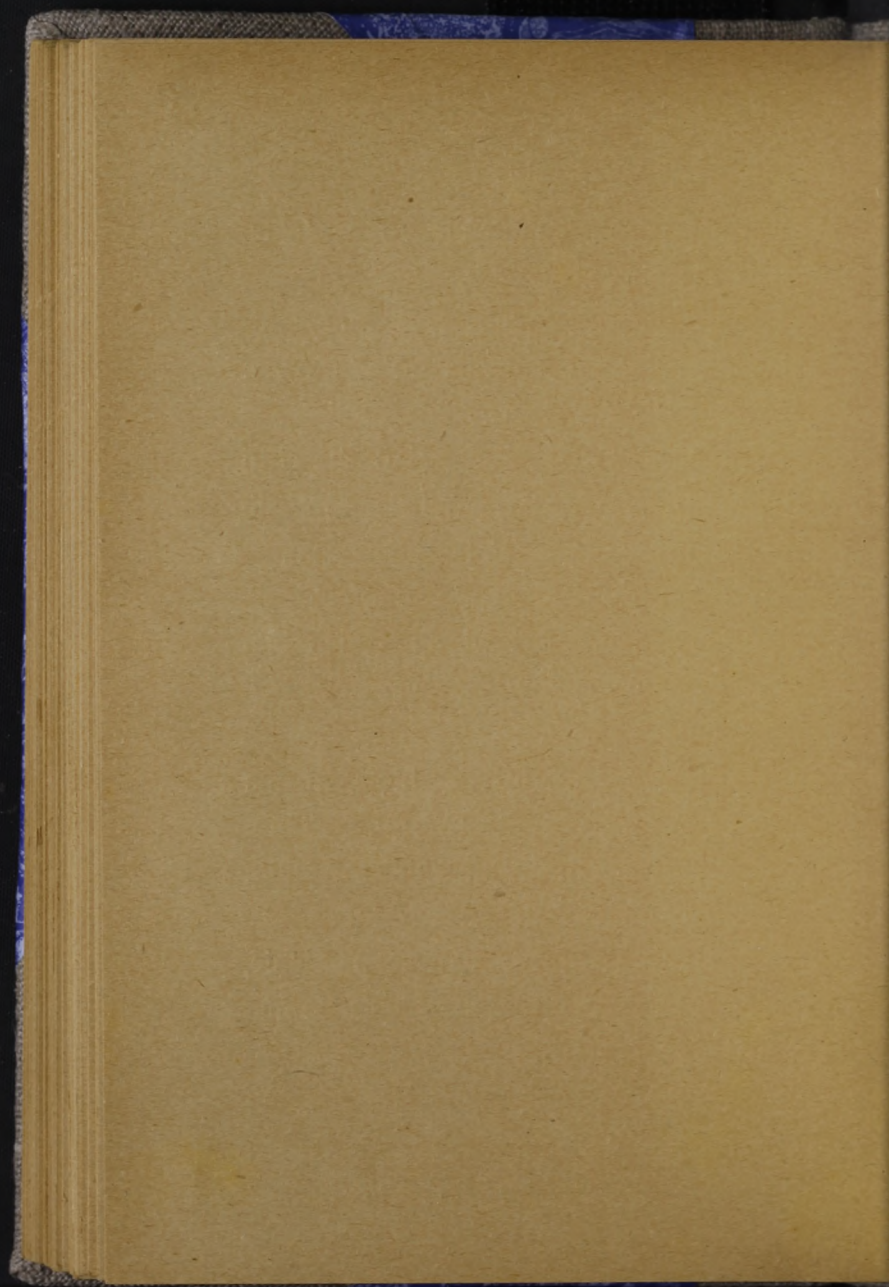
I odprowadziła go do ogólnej sali.

Tam spotkał Staś więcej takich biednych chłopczyków, a wszyscy byli sierotami.

Dziś Staś jest dużym chłopcem, ma lat 13, uczy się stolarstwa — postanowił zostać takim rzemieślnikiem, jakim był jego ojciec.

A skoro zacznie pracować na siebie, to za pierwsze zarobione pieniądze matuli krzyż postawi.

---



181

SZCZYGIEŁEK







Na brzegu gęstego lasu stoi choina.  
Na niej siedzi szczygiełek; główkę  
ma zwieszoną i piórka nastroszone.

Siedzi i myśli sobie: po co ta zima  
na świecie?

Dokoła pustka, śnieg i śnieg, jak  
okiem zajrzeć. Nigdzie nie można zna-  
leźć pożywienia. Oset tylko pozostał  
i ten cały mokry.

Inaczej było w lecie.

Nasiona, ziarn, wszędzie pełno;

much na każdym kroku, liszek co nie-  
miara.

Szczygiełkowi aż się oczki zaświeciły  
na wspomnienie lata.

Wyprostował się, spojrzął dokoła.

— Albo ten deszcz! — myśli dalej —  
bardzo potrzebny! Od wczoraj jestem  
mokry.

Zaczął otrząsać piórka.

Ale szczygiełek nie lubi długo sie-  
dzieć na jednym miejscu. Zerwał się  
więc z gałązki i poleciał.

Latał po lesie, latał po polach, łą-  
kach i trafił wreszcie do ogrodu.

Usiadł na jabłonce, ale na jej gałę-  
ziach także śnieg tylko leżał i tutaj  
smutno i zimno, jak wszędzie.

Już miał ptaszek lecieć dalej — gdy  
nagle zaświeciło słońko. Ucieszył się

szczygiełek: on bardzo lubi słońeczko, w jego promieniach zawsze ciepłej i weselej.

— Cwir-ćwir! — zaświergotał i przeskoczył na drugą gałązkę.

Przygląda się dokoła — co to? Pod jabłunką ziarna rozsypane. Czy to być może?

Zlatuje ptaszek i próbuje jedno ziarneczko... Wyborne, prawdziwe ziarno pszeniczne!

Szczygiełek chwyta ziarneczko, łyka jedno po drugim, ale wszystkich zjeść nie może.

— Polatam trochę — myśli sobie — później znów wrócę i zjem tę resztę.

Zrywa się — ale nie może poruwać: ma splątane nóżki. Targa niemi

z całej siły, to jednak nic nie pomaga.

Biedny ptaszek wpadł w sidła.

Za chwilę przybiegł chłopczyk, odpłatał szczygiełka, lecz go nie puścił, tylko zaniósł do pokoju i wsadził do klatki.

Dziś ma szczygiełek mnóstwo różnego nasienia: lniane, konopiane, ma bułeczki i cukier, ma nawet ciepło w pokoju i słońko w oknie, ale ptaszek się nie cieszy: tęskno mu do lasu, do pola, do towarzyszy. I śpiewać mu się nie chce, czasem tylko zagwizdże żałośnie.

Nie domyśla się ptaszek, jaka czeka go niespodzianka.

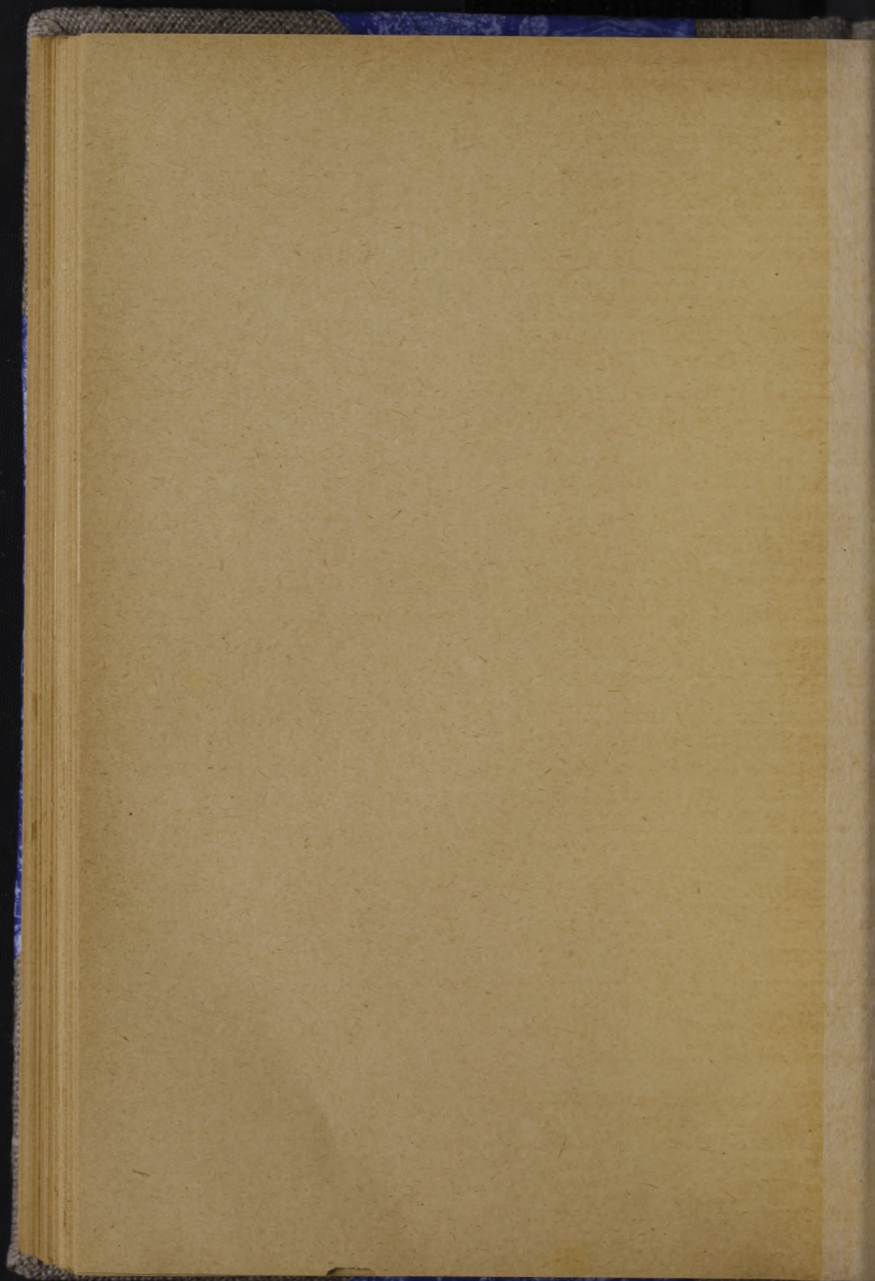
Wacio jest dobrym chłopczykiem, on nie chce więzić ptaka, przetrzyma

go tylko przez zimę dopóki nie przejdą mrozy.

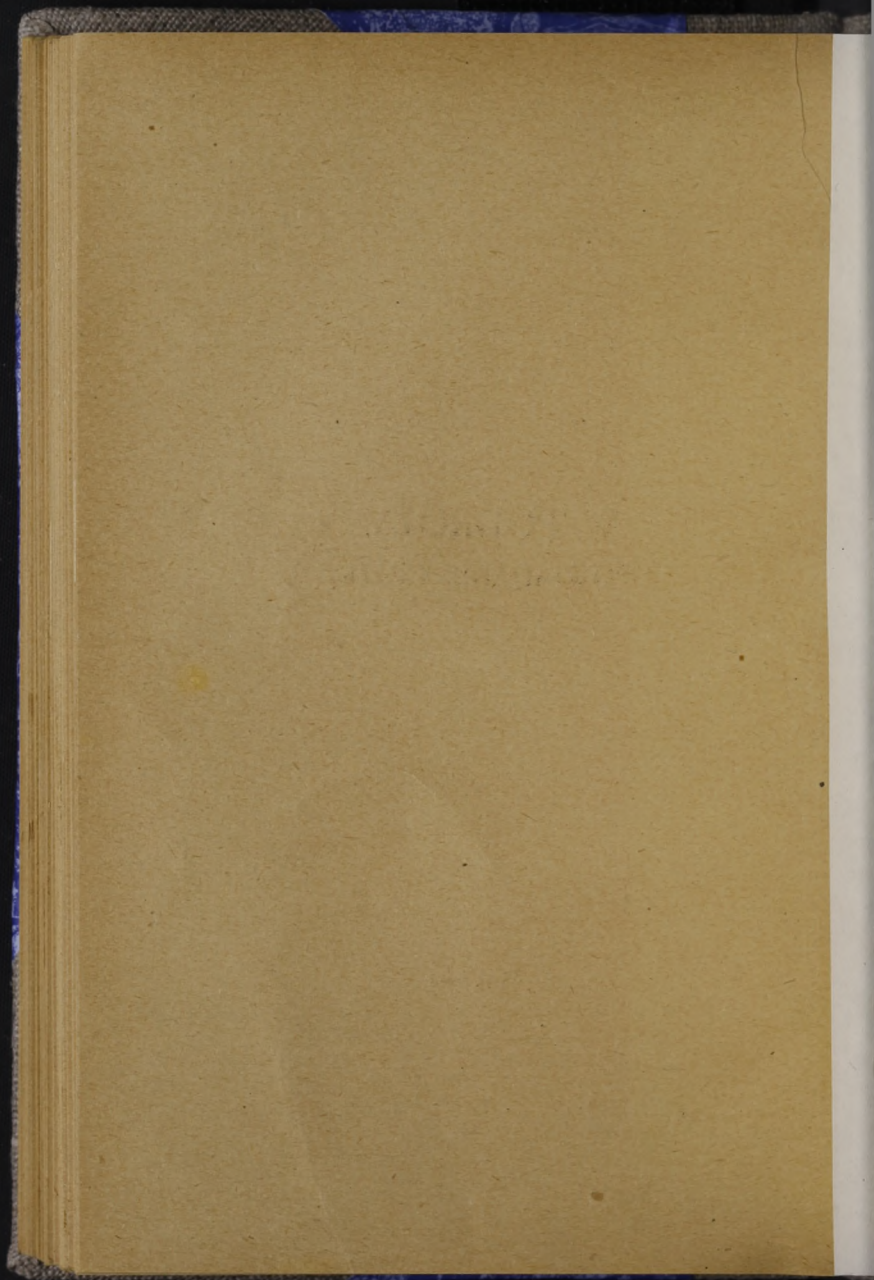
A skoro nadejdzie wiosna, natychmiast go wypuści.

Dopiero to szczygiełek się ucieszy!





W PODRÓŻY  
OPOWIADANIE CIOTKI







Było to przed samymi Świętami Bożego Narodzenia.

Pewnego dnia otrzymuję wiadomość, że przyjaciółka moja nagle zaśląbla i pragnie mnie widzieć.

Podróż była niezbyt odległa, ale bardzo uciążliwa: oprócz dziesięciu godzin koleją, 23 godziny trzeba jechać koźmi.

Nie miałam jednak wiele czasu do namysłu — w jednej chwili zebrałam rzeczy i pojechałam.

Nad wieczorem stanęłam na stacyi pocztowej.

We drzwiach spotkałam zawiadowcę, który uprzejmie mię powitał i zwrócił się z zapytaniem:

— Czy pani nie zechce przenocować u nas? Pokoje gościnne mamy wygodne, a jechać samej w nocy nieprzyjemnie; przytem i mróz większy brać zaczyna...

Podziękowałam za gościnność, tłumacząc się, że na pośpiechu bardzo mi zależy i dlatego poprosiłam zaraz o konie.

Niezadługo przed gankiem oczekiwał na mnie woźnica w sankach, zaprzężonych parą koni.

— Wio! — krzyknął, kiedym już wsiadła — wio! koniki! Jedźmy z Bogiem!

I popędziliśmy gościńcem.

Konie dobre, szybko niosły nas po

śniegu, jakby im także pilno było do spoczynku.

Mróż coraz się wzmagał. Drzewa szronem pokryte wyglądały jak stare olbrzymy. Gdzeniegdzie sowa odezwała się żałośnie.

Wszystko to wkońcu znużyło mnie trochę — zaczęłam drzemać.

Tak dojechaliśmy do stacji następnej, gdzie przeprężono konie i znowu wyruszyliśmy w dalszą drogę.

Tymczasem zapadła noc ciemna i cicha taka, że tylko parskanie koni słychać było wśród zmroku od czasu do czasu.

Wjechaliśmy nareszcie w duży las świerkowy.

Naraz konie się zrywają i zaczynają nas unosić.

Stangret ściąga lejce, woła... a konie biegną coraz prędzej, jakby chciały roznieść sanki.

Dobłą wiorstę ujechaliśmy w ten sposób.

Wkońcu rumaki nasze uspokoiły się i poszły stępa.

— Co to było? — pytam stangreta.

Zapewne wilki spostrzegły, bo te bestye, głodne w zimie, wychodzą na drogę, żeby co upolować.

O, proszę pani, jeden wilk to głupstwo — ale ten jeden ściągnie dziesięciu — a wtedy trudna z nimi rada.

Nie dalej, jak miesiąc temu, jakiś kmiotek wracał z miasteczka; opadły go wilki w lesie — i sanki tylko zostały, a człowieka i konia zjadły.

Stangret się rozgadał o rozmaitych przygodach z wilkami.

Spać mi się odechciało i słuchałam go z przyjemnością.

Znowu zatrzymaliśmy się na stacyi.

Tym razem był to malutki domek drewniany w lesie. Pokój gościnny bardzo ubogo przybrany: parę krzeseł drewnianych, stół pośrodku i lampa o bardzo słabym płomieniu.

Widać, że wszyscy dawno spali, bo cisza panowała zupełna dokoła.

Nie wiem sama, czy przyczyną było opowiadanie woźnicy, czy pustkowie, w którym staliśmy, czy ta cisza — dość, że strach jakiś ogarniać mię zaczął.

Usiadłam przy stole, oparłam głowę na rękę i czekam, aż stangret zawoła, że konie gotowe.

Naraz słyszę w drugim pokoju drobne kroki; przypominało mi to chód ptasi, albo kroki małego dziecka. Nasłuchuję... odgłos umilkł, a po chwili... znów daje się słyszeć.

Tymczasem zegar wybił trzecią.

Usiadłam wygodniej, przymknęłam oczy i staram się myśleć o czem innym — słyszę jednak ciągle, że ktoś się zbliża drobnymi kroczkami.

Wtem dał się słyszeć głos męski. Podnoszę głowę... przyglądam się drzwiom bocznym od drugiego pokoju, patrzę — i nie wierzę sama sobie: na progu stoi duża męzka głowa z długą, siwą brodą.

— Jezus, Marya — myślę sobie — widzenie jakieś! Przecież to nie sen. Przecieram oczy, przypatruję się — ta sama głowa.

Mrowie po skórze mi przeszło. Ze strachu głosu wydobyć nie mogę i siedzę jak skamieniała.

Tymczasem głowa zaczyna się kiwać na prawo, na lewo, podnosi się trochę i próg przeskakuje.

Krzyknęłam teraz z przerażenia.

— Niech się pani nie lęka, jestem taki sam człowiek, jak wszyscy, tylko bardziej nieszczęśliwy.

Przedemną stał karzeł, wielkości łokcia, który miał głowę dorosłego człowieka — a nogi nowonarodzonego dziecka.

Długa siwa broda zakrywała mu całe ciało i tylko małe stopy wysuwały się naprzód.

— Za ciężką mam głowę — odezwał się znowu karzeł — więc co chwila muszę wypoczywać.

Skrzyżował swoje małe nóżki i usiadł na podłodze, przyczem się zdawało, że głowa sama stoi na środku pokoju.

— Niech się pani zlituje nad biedakiem — mówił dalej — i ofiaruje mi choć parę groszy.

W tej chwili dano znać, że konie czekają.

Ochłonełam już ze strachu i wiedziałam teraz, z kim mówię, jednak przykro mi było patrzeć na nieszczęśliwego.

Dałam mu kilka kopiejek i pospieszyłam w dalszą drogę.

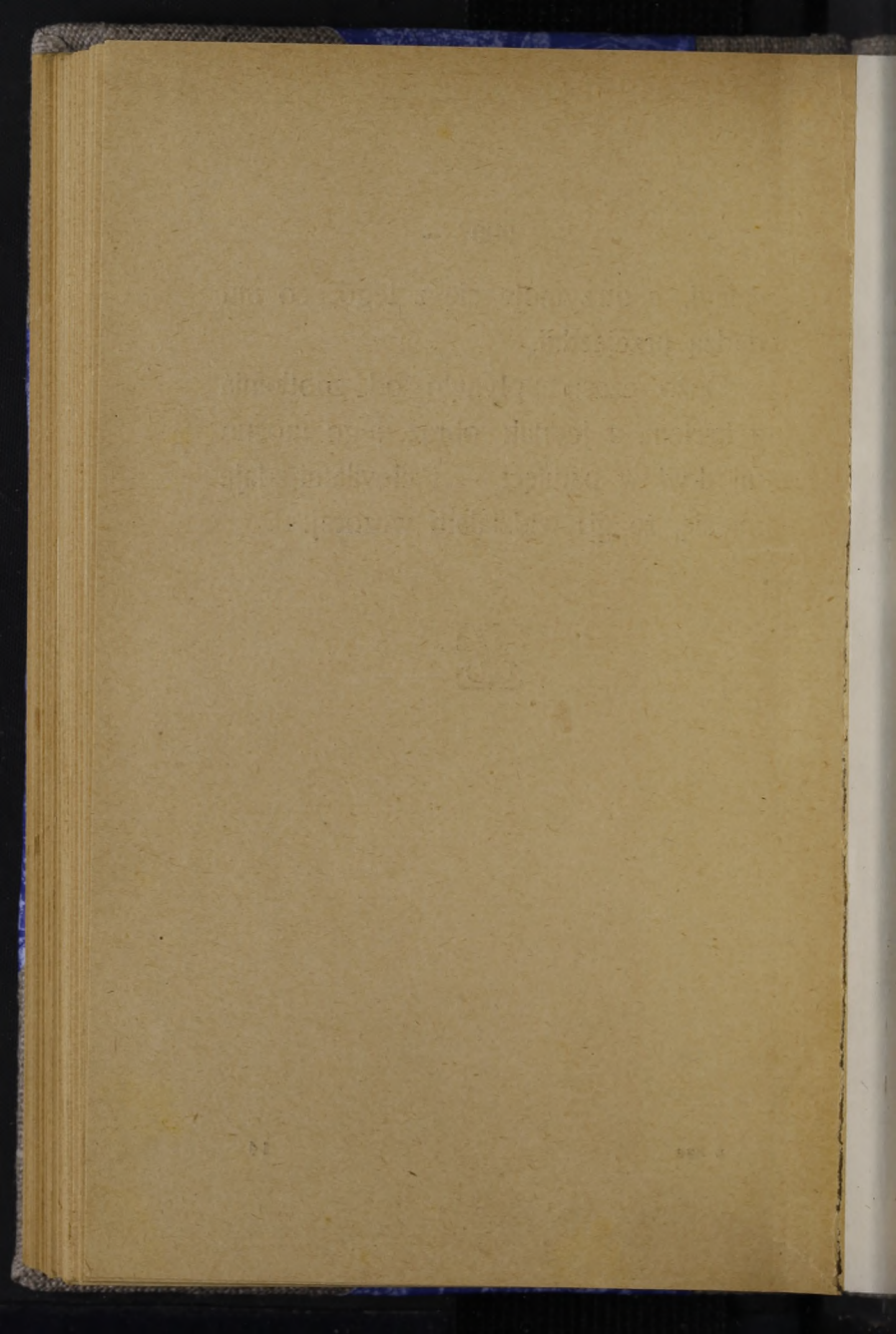
Od stangreta dowiedziałam się, że ów karzeł dobrze znany jest w okolicy. Dopóki był młodszy, jeździł po większych miastach i pokazywał się za pieniądze, a dziś słaby i stary, mieszka na



stacyi, a utrzymuje się z tego, co mu dadzą przejezdni.

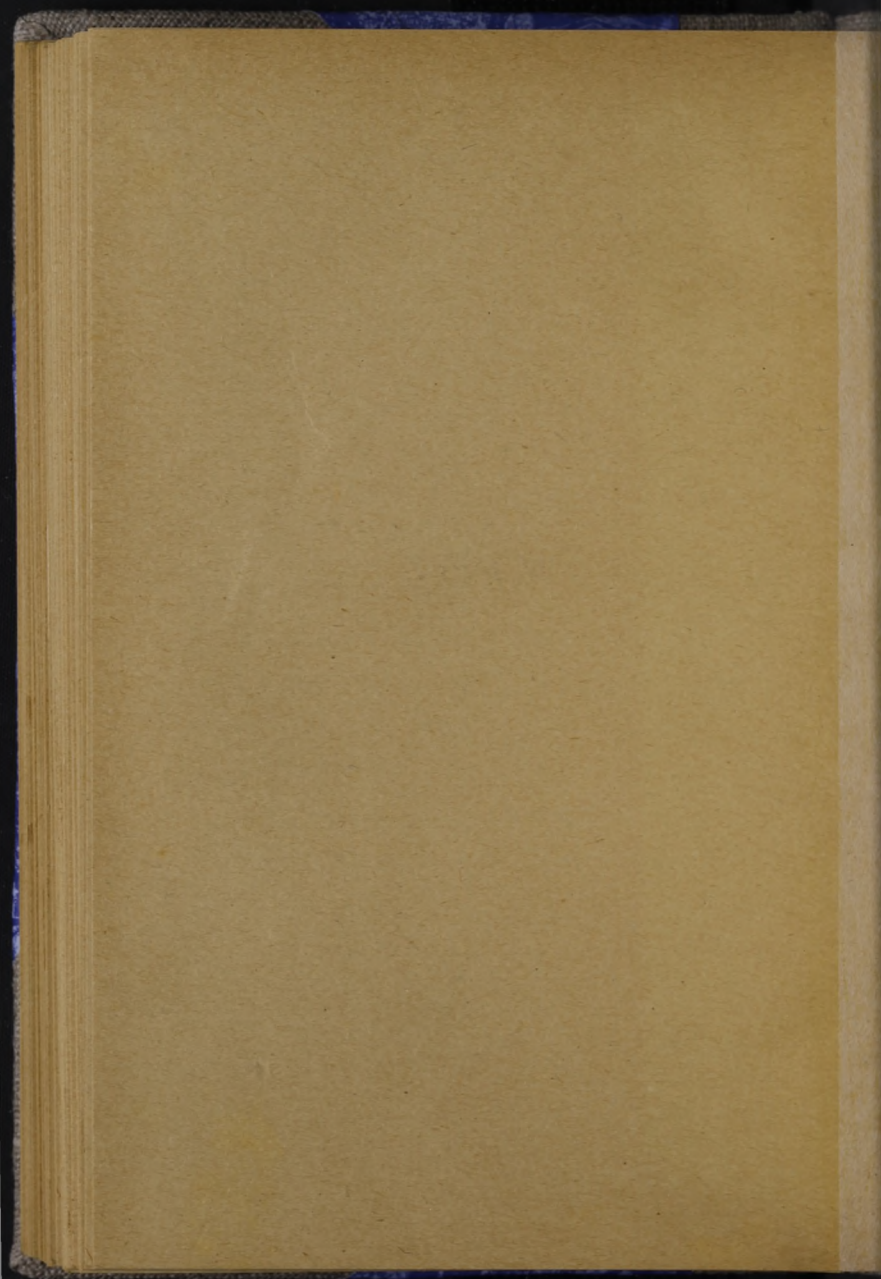
Dużo czasu upłynęło od spotkania z karłem, a jednak obraz jego mocno mi tkwi w pamięci — i chwilami zdaje mi się, że go widziałam wczoraj.





MRÓZ

14°





Niewiadomo z jakiej przyczyny mróz okrutnie rozgniewany spadł na ziemię. Wszystko mu zawadzało: drewniane parkany tak ścisnął, że deski pękać zaczęły; na okna wlaźł, porysował je w rozmaite desenie, szukał szparki, przez którą mógłby się dostać do mieszkania. Wkrótce znalazł ją w lufciku; wpadł do pokoju i strasznie dokuczać zaczął ludziom.

Potem szukał ptaków w ogrodach, na drzewach, na parkanach, znalazł wreszcie jednego wróbla.

Biedak schował się pod strzechę i drżał z zimna. Mróz porwał go i ścisnął tak mocno, że ptaszek od razu dech wyzionął.

Teraz już wszyscy o niczem innym nie mówili, tylko o wielkim mrozie; uciekali, kryli się przed nim, gdzie kto mógł...

A mróz cieszył się, że taki postrach budził wszędzie, że taki silny...

Przebiegając ulice, spostrzegł nagle chłopca bez kaloszy i rękawiczek, biegającego po podwórku.

Zdziwienie mrozu nie miało granic.

— Cóż ty sobie, zuchwalcze, myślisz? Może chcesz walczyć ze mną?

I zaczął go szczypać w nogi, w ręce, w policzki...

Lecz chłopiec nie zważa na to, jakby

nic nie czuł... Biega, podskakuje, śnieg rękami chwyta i rzuca nim do celu.

Rozgniewał się mróz na dobre i z całej siły w nos chłopca uszczypnął.

Tym razem malec nie mógł już wytrzymać, chwycił się ręką za nos i uciekł do domu.

Mróz tymczasem wyszedł na miasto.

Po drodze spotkał mleczarkę z małym synkiem — i tym nie przebaczył.

Biedna kobieta otula się chustką, bo zimno przejmuje ją straszne.

Z chłopcem jeszcze gorzej: nóżki mu tak skostniały, że iść nie może wcale, drży biedak i płacze z bólu.

A mróz złośliwy coraz silniej, śmielej garnie się do nich i cieszy się i raduje, że ludziom dokuczyć może.

— Niechno przyjdzie noc — myśli

sobie — to nabiorę większej siły i z chłopcami do walki stanę.

I rzeczywiście w nocy nic mu nie stało na przeszkodzie. Broił też w okrutny sposób, nad nikim nie mając litości.

Jakiegoś podróznego podobno na śmierć zamroził, a ile zwierząt, ptaków, trudno porachować. Tak się rozhulał niecnota, że już zamyślał o zamrożeniu całego świata.)

Pędzi znowu przez pola i lasy, szukając nowej ofiary.

— Księżyc i gwiazdy, wszystko bać się mnie powinno. Ja nawet słońce zgnębię...

Wtem z poza lasu weszło słońce. Ciepłe, pogodne, promienne, wesoło obejrzało się dokoła, a gdzie tylko



spojrzało, tam padały na ziemię jego złociste promienie.

Na ten widok ptaki z pod strzechy wzleciały, świegocąc wesoło, koniki poruszają uszami z radości, że słońko je ogrzewa, zajaczek wyskoczył z za krzaka, żeby lepiej przyjrzeć się słońku.

— Słońko, słońeczko! — zawołały dzieci i natychmiast wybiegły na podwórko.

Wszystkim weselej, cieplej się zrobiło.

Mróz widzi, jak mile wszyscy witają słońeczko i zawstydził się bardzo; wstydział się swojej dumy i złości.

Czuje, że słońce pokona go swoją dobrocią, czuje, że słabnie, że maleje...

— Czemu, czemu ono takie ciepłe — myśli — czemu takie łagodne? Gdyby inne było, tobym się rzucił na nie,

zmógłbym je, byłbym wielki znów  
i silny... Czemu? czemu?... za chwilę  
zginę...

I powoli, powoli mróz zaczął się co-  
fać, aż wkońcu znikł zupełnie.



## SPIS RZECZY

---

	Str.
Wybieg sowy . . . . .	3
Opowiadanie kuropatwy . . . . .	11
» sroki . . . . .	23
» dzięcioła . . . . .	35
» sojki . . . . .	43
» wrony . . . . .	51
» wróbla . . . . .	65
» cietrzewia i głuszca . . . . .	81
Przed gwiazdką . . . . .	93
Niedźwiedź ze śniegu . . . . .	103
Szaruś . . . . .	111
Kto to? . . . . .	123
Podstęp lisa . . . . .	133
Nieszczęście Wojtka . . . . .	147
Przykry zawód . . . . .	159

	Str.
Przygody zajączka . . . . .	167
Mały żebrak . . . . .	175
Szczygiełek . . . . .	191
W podróży . . . . .	199
Mróz . . . . .	211



Antykw. Maule.  
Krośnice 30 x 65  
-202- B





Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001018619063



336059

---

---

---